

# moja Lesznówola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 październik 2017, nr 17



# Gmina w obiektywie

Ulica Słoneczna tradycyjnie przyozdobiona została straganami z kolorowymi dyniami wymyślnych i zaskakujących kształtów.





13



22



40



29



35

## Spis treści

### 6 Od Redakcji

### 7 I tak się zaczęło

*...nie po to dostałam drugie życie, żebym siedziała i oglądała seriale*

### 13 Jedyne taki bieg

*...wśród tych wszystkich biegów jest tylko jeden „Bieg po dynię”*

### 16 Pani ambasador

*...napisałam list i dodałam, że będę bardzo aktywną mamą*

### 22 Pod piracką banderą

*...dobra zabawa była chyba ważniejsza niż zdobyte punkty i zajęte miejsca*

### 24 Moja Polandia

*...myliła mi się Polandia z Holandią, nic nie wiedziałem o Lechu Wałęsie*

### 29 Zwyczajne życie

*...mama nie zgadzała się, bym została aktorką, bo uważała, że aktorki, by dostać rolę, muszą się z kimś przespać*

### 35 E = mc<sup>2</sup>

*...pierwsza moja wystawa plastyczna „to był skandal”*

### 40 Pasja rodzinna

*...przez te lata rozegraliśmy ponad setkę turniejów*

### 45 Błękitna armia Hallera

*...nie mogło być inaczej – było zgodnie z historią*

### 48 Grzybowa uczta

*...takich grzybów, jakie były w tym roku w lesznowolskich lasach, dawno nie widziano*



7



16



24



## Od Redakcji

Jak ten czas leci. Nim się obejrzelśmy już październik. W naszej zielonej gminie zrobiło się jesiennie i bajecznie kolorowo. Ulica Słoneczna tradycyjnie przyozdobiona została straganami z kolorowymi dyniami wymyślnych i zaskakujących kształtów, warkoczami kolorowych papryczek i czosnku. Wieczorem oświetlone stragany wydają się jeszcze bardziej kolorowe.

W tym numerze „mojej Lesznowoli” dynie więc wyraźnie zaznaczają swoją obecność, ale inaczej być nie może. Mamy przecież w październiku nie tylko stragany, ale też tradycyjny „Bieg po dynię”, którego atmosfera przyciąga coraz więcej uczestników. Fotorelację z tego wydarzenia z przyjemnością zamieściliśmy w tym numerze, tak jak relację z „Tataspartakiady” i historycznej bitwy na polach pod Lesznowolą.

Prezentujemy też Czytelnikom ludzi, których odwiedziliśmy wierni naszemu hasłu: „mieszkamy w jednej gminie – poznajmy się”.

W tym numerze zdecydowana przewaga pań. Dwie z nich przeżyły w swoim życiu niezwykle przypadki, które sprawiły, że nabrało ono zupełnie innego sensu. Dwie inne, mama i córka, mają wspólne pasje, a kolejna bohaterka naszych relacji została niezwykle panią ambasador.

Prezentujemy też mieszkańca naszej gminy, który kiedyś mylił Polskę z Holandią, a dziś nie wyobraża sobie, by mógł mieszkać w innym kraju. Piszemy też o rodzinnej pasji, która łączy zawodników drużyny Scorpion Władysławów.

W kuchni, z uwagi na nienotowany od lat wysyp grzybów w lesznowskich lasach, królują oczywiście grzyby.

Miłej lektury.

Redaktor naczelny  
*Andrzej Kwiatkowski*

## moja Lesznowola

Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski

OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk

ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska

DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2

KONTAKT [mojalesznowola@gmail.com](mailto:mojalesznowola@gmail.com), tel. 600 056 069



– Pamiętam nasze pierwsze święta Bożego Narodzenia w tym domu. To było w 2002 roku. My i kilku sąsiadów chcieliśmy przy tej okazji poświęcić nasze nowe ogniska domowe – wspomina pani Maria Smirnow. – Rozmawialiśmy o tym z księdzem Andrzejem Grefkowiczem, wtedy proboszczem parafii w Magdalence, i ksiądz powiedział: „A może wy, wasi sąsiedzi i ja zebralibyśmy się wieczorem na taki wspólny opłatek? Spotkamy się, porozmawiamy, pośpiewamy kolędy, poznamy się...”.



– Dom w Łazach zaczęliśmy budować, będąc już w dość podeszłym wieku – mówi mąż pani Marii, Andrzej Smirnow. – Mieszkaliśmy w Warszawie w domu na czwartym piętrze, w typowym gomułkowskim mieszkaniu bez windy, z ciemną kuchnią. Żona zaczęła mieć kłopoty z sercem i musieliśmy się przeprowadzić.

– Znaleźli u mnie wadę serca – wyjaśnia pani Maria. – To było dla nas ogromne zaskoczenie, bo oboje byliśmy przewodnikami górskimi i chodziliśmy w wysokie góry. W Polsce nie zaliczyliśmy tylko Gór Izerskich, czyli pasma w Sudetach Zachodnich, ale przewodnikami byliśmy po Beskidzie Niskim i w Bieszczadach.

Przemierzaliśmy w Tadżykistanie pasmo Ałaj Pamiru, przeszliśmy południowe Karpaty, prowadziliśmy wędrowne grupy studenckie po górach, a tu ja się dowiaduję, że mam wadę serca?!

Wiecie, jaka była moja pierwsza reakcja na tę zaskakującą wiadomość? – pyta, śmiejąc się, pani Maria. – Dzięki Bogu, że ja wcześniej o tym nie wiedziałam. Miałabym zmarnowaną młodość. To prawda, że nie ma ludzi zdrowych, są tylko niedokładnie przebadani i pewnie ja byłam tego przykładem.

– Na działkę w Łazach namówił mnie Janusz Piechociński – wspomina pan Andrzej. – To były lata dziewięćdziesiąte, znaliśmy się. Janusz znał ten teren, jest przecież z naszej gminy, często podwoził mnie do Skolimowa, gdzie budowałem jacht, i kiedy usłyszał, że musimy się przeprowadzić z Warszawy, przywiózł mnie tu.

Kupiliśmy działkę za niewielkie pieniądze i systemem gospodarczym zaczęliśmy budowę domu. Byliśmy wtedy nauczycielami akademickimi i budowaliśmy z naszych nauczycielskich. Od tamtego czasu minęło już dwadzieścia lat.

### Czasy studenckie

– Oboje studiowaliśmy na Politechnice Warszawskiej. Ja na wydziale budowlanym, a mąż na elektrycznym – mówi pani Maria. – Na politechnice był wówczas klub przewodników górskich, który organizował między innymi letnią akcję obozów studenckich. Poznaliśmy się przy organizacji jednej z takich akcji.

Warszawa miała wówczas jako rejon górski przydzielone Bieszczady, gdzie organizowaliśmy dwutygodniowe obozy wędrowne. Przedtem musieliśmy zrobić odpowiednie państwowe uprawnienia przewodników górskich. Połączyła nas turystyka. Ślub wzięliśmy w 1961 roku.

W 1968 roku skończyłam studia. Andrzej trochę wcześniej. I mnie, i jemu zaproponowano asystenturę na uczelni. Ja w odróżnieniu od Andrzeja byłam zawsze dobrą uczennicą. Podobno dziewczyny tak mają, że się lepiej uczą i są bardziej obo-



wiązkowe. Ale skoro los tak chciał, że dostaliśmy pracę na uczelni, oboje zajęliśmy się pracą dydaktyczną i naukową. Wychowywaliśmy też dziecko, a mówiąc precyzyjnie, ja wychowywałam. Jak typowa kobieta zajmowałam się prowadzeniem domu, wychowywaniem dziecka, pracą, a po nocach robiłam doktorat, który trzeba było zrobić w określonym czasie.

Oboje obroniliśmy doktoraty. Andrzej wcześniej, ja trochę później. Zajmowałam się inżynierią materiałów budowlanych. Badałam betony. Mówiąc w dużym uproszczeniu, badałam materiały budowlane, ich składy i reakcje, jakie w nich zachodzą.

Andrzej wprawdzie mówił, że kobiety nigdy nie będą inżynierkami, ale taka inżynierka materiałów, dobrze im wychodzi, bo ma coś z kuchni. Pomieszają, pomieszają, potem zbadają wytrzymałość na ściskanie, na rozciąganie i wybierają, który skład jest lepszy i dlaczego. Jak w kuchni.

Kuchnia nie kuchnia, a mój doktorat został przekazany do wytwórni betonów autoklawizowanych, czyli komórkowych, używanych w Polsce,

Europie i wielu krajach świata. Taki beton powstaje z cementu, wapna i gipsu jako spoiw, wypełniaczy w postaci piasku i niewielkich ilości proszku aluminiowego (lub pasty), który działa jak środek porotwórczy.

Andrzej, choć kończył wydział elektryczny, doktorat robił ze sterowania maszyną do produkcji stilonu. Wykonał nawet model takiej maszyny dla fabryki produkującej stilon w Gorzowie Wielkopolskim.

### Suwaczek

– Nasze prace naukowe różniły się od innych tym, że nie były wykonywane przy biurku, bo takie czysto teoretyczne prace niczemu nie służą. Nasze prace powstawały w ścisłym związku z praktyką. Pamiętam, że kiedy rozpoczęto budowę Trasy Łazienkowskiej, trzeba było zrobić projekt kładki nad trasą z zastosowaniem betonu sprężonego. W użyciu były już wspaniałe nowe narzędzia pracy, czyli komputery.

Pani z biura projektów przyniosła swój wydruków komputerowych do naszego szefa z prośbą, żeby ktoś przejrzał projekt. Profesor, szef katedry, zastanowił się chwilę i powiedział, że byłoby najlepiej, gdyby to

zrobił pan inżynier Wawrzyniec Haładyniuk. Bez doktoratów, tytułów, po prostu fachowiec.

Pan inżynier Haładyniuk projekt przejrzał i powiedział: „Coś mi się tu nie podoba. Tu jest o jeden pręt za mało. Tu jest błąd. – Ależ panie inżynierze, to niemożliwe, to było robione na komputerze – powiedziała pani z biura projektów. – Ja nie wiem, na czym to było robione, ale mam tu swój suwaczek, a on mi mówi, że jest o jeden pręt w tej konstrukcji za mało” – odpowiedział pan inżynier. Nie muszę Państwu mówić, że pani była prawie obrażona. Zwinęła papiery i wyszła. Na drugi dzień był telefon: „Panie inżynierze – mówił głos w telefonie – bardzo pana przepraszamy, ale ta pani, która wprowadzała dane do komputera, zrobiła błąd. Rzeczywiście, w konstrukcji powinien być jeszcze jeden pręt”. Doświadczenie i suwaczek wygrały z komputerem.

Na uczelni pracowaliśmy do emerytury. Nawet jak tu już zamieszkaaliśmy, dojeżdżałam do Warszawy autobusami, opanowałam rozkład jazdy i nie było tak źle. Z tytułem profesorskim można było pracować do siedemdziesięciu lat.





fot. z archiwum prywatnego Marii i Andrzeja Smirnowów



### Żeglarstwo

– Mój mąż od dziewiątej klasy liceum zajmował się żeglarstwem, ale nie myślcie państwo, że ja byłam tylko damą na jachcie. Zresztą, niech Andrzej o tym opowie – zaproponowała pani Maria.

– Zdradziłem żeglarstwo dla gór – mówi pan Andrzej. – Żeglaliśmy głównie w latach osiemdziesiątych. Na jachtach spędzaliśmy urlopy, ale ja nie miałem wtedy jachtu. Swój własny budowałem przez osiemnaście lat. Zaczynałem na Politechnice Warszawskiej, potem w różnych miejscach. Żeglaliśmy, bo nasz przyjaciel pożyczał nam swój jacht. To była GIGA do żeglugi śródlądowej i zatokowej. Taka konstrukcja z lat 70., ważąca około dwóch ton. Ja holowałem jacht w jedną stronę, pływałem miesiąc, a potem jacht przejmował przyjaciel.

Żona, ponieważ nie umie pływać i nie znała jachtu, była na początku wzorowym pasażerem, towarzyszem podróży. Mogę powiedzieć, że było wspaniale. Słuchała wszystkiego, dopóki się nie przyzwyczaiła do żeglowania i nie poznała jachtu.

– Pływałem we dwójkę i ja wykonywałem polecenia kapitana.

### ...miałam w sobie ogromnie silne postanowienie, że nie mogę zmarnować tego danego mi po raz drugi życia

Mówił mi na przykład: „Cięgnij prawą lub lewą linę”. Na początku dyskutowaliśmy o tym, czy prawa to jest lina z jego prawej czy z mojej prawej, ale z czasem się nauczyłam żeglarskiego języka i rozumiałam komendy.

Kiedy chodziliśmy w góry, zawsze wędrowaliśmy w grupie. Tu też żeglaliśmy w grupie. Panowie oczywiście ścigali się na jeziorze, bo wszyscy byli żeglarzami z patentami i wszyscy byli ambitni. Potem był wspólny biwak. Gdy dobijaliśmy do brzegu, panowie, jako zmęczeni sterowaniem i dowodzeniem żeglarze, siadali i wyciągali z wody butelki, które chłodzili, ciągnąc na sznurkach za jachtami, a my szliśmy na grzyby albo robiliśmy ognisko. Taki to był sprawiedliwy podział ról.

Ale było to tak, jak w górskich wędrownkach. Jakaś wspólnota zainteresowań, jakieś towarzystwo.

### Solidarność

– Potem był następny etap. Pojawiła się „Solidarność”, ruch, który zmienił całe nasze życie – mówi pan Andrzej. – Zostałem wybrany na przewodniczącego „Solidarności” na Politechnice Warszawskiej.

– Najzabawniejsze było to – wtrąca pani Maria – że my nigdy nie zajmowaliśmy się polityką. I nagle znaleźliśmy się w sytuacji, która niejako zmusiła nas, żeby w tę politykę wejść. Zналиśmy świetnie sytuację na uczelni, wiedzieliśmy, że wiele rzeczy trzeba zmienić, i zobaczyliśmy, że są możliwości, żeby zmienić to wszystko, co się nam tak nie podobało.

– Do poprzedniego systemu, niezależnie od tego, co kto robił, wszyscy mieliśmy mniej więcej taki sam stosunek. Kiedy w Gdańsku zaczęły się strajki, pływałem na Mazurach. Był między nami doktorant z Ukrainy, bo to była taka międzyuczelniana

wymiana, i pamiętam – wspomina pan Andrzej – że biegał wszędzie i kupował gazety polskie i radziecką „Prawdę”. Czytał, konfrontował wszystko, co przeczytał, i był w rozterce, bo nic mu się nie zgadzało. Co innego widział, co innego czytał. Co innego pisały nasze gazety, a co innego jego „Prawda”.

Zostawmy ten czas, bo wiele moglibyśmy na ten temat opowiadać, i wróćmy do chwili, gdy staliśmy się mieszkańcami gminy Lesznowola.

### Projektant

– Gdy kupiliśmy działkę i podjęliśmy decyzję, że będziemy budować dom, do głosu doszedł konflikt damsko-męski – wspomina pani Maria. – Andrzej powiedział, że sam zaprojektuje nasz dom, bo do tego nie potrzeba żadnych studiów. – No nie, tak nie powiedziałem – protestuje pan Andrzej.

– Tak czy inaczej, kupiliśmy gotowy projekt domu, ale to był tylko zaczątek – wspomina pan Andrzej. – Potem w programie komputerowym, na jakim się znałem, wprowadzałem zmiany, a żona do zmian korekty. Zmusiła mnie do wykonania z tektury projektu naszego domu i musiałem go skleić.

– Mąż jest wprawdzie z wykształcenia energoelektronikiem, ale jako mężczyzna umie oczywiście wszystko – śmieje się pani Maria. – Co to jest zbudować dom? Mężczyźni jak świat światem budowali domy, więc co to za sztuka? – przekomarza się pani Maria. – Zaprojektował dom, zrobił model, a ja popatrzyłam i powiedziałam: „Te okna są za małe”.

– Zaprojektowałem okna stosunkowo niewielkie, bo okna były drogie, ale jak wybudowaliśmy stan surowy, to rzeczywiście zobaczyłem, że okna są za małe. Wziąłem piłę i wyciąłem większe – przyznaje pan Andrzej.

– Ponieważ, jak wspominałam, mój mąż jest żeglarzem, więc musiał mieć za oknem trochę wody – śmieje się pani Maria. Postanowił wykopać basen. I wykopał. Ale jego zdaniem basen był za daleko od domu, a domu do basenu przesunąć się nie dało. Aby przybliżyć go do domu, powiększyliśmy taras i teraz jest tak, jak trzeba.

Wielu znajomych pytało nas: „Po co wam ten basen?”. Jak to po co – odpowiadałam. Wszystkie, okoliczne dzieci mają się gdzie uczyć pływać. Ostatnio mieliśmy w basenie czternaścioro dzieci, bo mamy tu takich sąsiadów, którzy mimo tego, że mają sześcioro swoich, to na wakacje przyjmują zaprzyjaźnione dzieci z Warszawy i organizują im taki pobyt na wsi.

Kiedyś te dzieci siedziały w basenie, a koło basenu trwała dyskusja, że to dla nas tyle kłopotu: „przepraszamy, dziękujemy” i tak dalej. Ja na to, wykorzystując swoją dydaktyczną żyłkę, powiedziałam: „Słuchajcie, przecież to wy robicie mi przysługę. Woda w basenie nie jest ogrzewana, ma tylko 24 stopnie, a każde z was ma temperaturę 36,6 stopnia. Każde z was działa więc jak grzałka. Gdy mój mąż wieczorem wraca z Warszawy i wchodzi do basenu, ma ogrzaną wodę”.

Na to jeden z rezolutnych chłopców odpowiedział: „To teraz, nim wejdziemy do basenu, zmierzmy

### ...mężczyźni jak świat światem budowali domy, więc co to za sztuka?

temperaturę wody i zobaczymy, o ile wzrosła, gdy z niego wychodzimy”. I tak teraz robią.

### Splacanie długu

– Muszę w tym miejscu się wtrącić – powiedział pan Andrzej – bo wszystko zaczęło się od chwili, gdy Marysia po zabiegach wokół jej chorego serca, po operacji, z rozrusznikiem i sztuczną zastawką wróciła do domu. Uznała wtedy, że dostała drugie życie i musi je wykorzystać do splacenia długu. Znalazła sposób, jak go spłacić. Zaczęła pomagać dzieciom w rodzin wielodzietnych w nauce. To nas bardzo zbliżyło do wielu rodzin i – jak mówi Marysia – „czujemy się bardzo osadzeni w tej wspólnocie”.

– Bardzo się tej operacji bałam – mówi pani Maria. – Miałam skierowanie do Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrze, ale zwyczajnie po ludzku bałam się. Bo wiadomo, wyjmują człowiekowi serce, podłączają go do aparatury podtrzymującej życie i tak naprawdę nie wiadomo, jak to się wszystko skończy.

Wpadłam na pomysł, żeby przed wyjazdem do Zabrza pójść do księdza Andrzeja Grefkowicza, ale Ela Marek („moja Lesznowola” nr 16 „List kardynała”) mówi: „Słuchaj,



**...uznała, że dostała drugie życie i musi je wykorzystać do spłacenia długu**

panuje taka grypa, gdzie ty będziesz chodziła. Niech lepiej ksiądz Andrzej przyjdzie do ciebie i przygotuje cię psychicznie do tej operacji”.

I tak się stało. Na dzień przed wyjazdem przyszedł do nas ksiądz Andrzej, wyspowiadałam się, a potem bardzo długo się nade mną modlił.

Możecie mi państwo wierzyć lub nie, ale gdy skończył, zupełnie zmieniło się moje nastawienie do tego, co mnie czekało. Jechaliśmy na drugi dzień z mężem do Zabrzeża samochodem. Przez całą drogę z ogromnym spokojem mówiłam, jak oni będą tę operację robili. Panie w szpitalu w przeddzień operacji pytały, dlaczego ja się wcale nie denerwuję, a we mnie nie było cienia strachu tylko ciekawość, jak ta operacja będzie przebiegała i co będzie potem. Operacja się udała, wróciłam do domu i poszłam do księdza Andrzeja.

„Nie wiem, co ksiądz zrobił, jak to zrobił, ale to, co przesłam, to nie była operacja. To była jeszcze jedna przygoda w moim życiu. – Ja nic nie zrobiłem – powiedział ksiądz Andrzej. – Ja jestem tylko przekazańnikiem”.

– Ponieważ bardzo dobrze czułam się po operacji, przyrzekłam sobie, że nie po to dostałam drugie życie, żebym siedziała i oglądała seriale. Miałam w sobie ogromnie silne postanowienie, że nie mogę zmarować tego danego mi po raz drugi życia. Zastanawiałam się, co takiego mogę robić, żeby z jednej strony spłacić ten dług i jednocześnie być pomocna ludziom. Przez trzydzieści pięć lat uczyłam studentów, a teraz mogę dalej uczyć. I postanowiłam uczyć matematyki dzieci z rodzin popegeerowskich, z rodzin wielodzietnych, w których rodzice nie mają czasu, by dzieciom pomagać. I tak się zaczęło. I tak jest do dziś. Spłacam dług i jest mi z tym bardzo dobrze.

– I mnie jest z tym dobrze – śmieje się pan Andrzej – bo żona już nie ma czasu, żeby mnie pouczać. – Nie pouczać, tylko wychowywać – odpowiada ze śmiechem pani Maria.

– Zaczęliśmy naszą rozmowę od pierwszego wspólnego kolędowania, które ma już piętnastoletnią tradycję. Tyle tylko, że teraz nie zbieramy się w domach, bo rozrosły się rodziny,

przybywa nowych kolędników. Spotykamy się w sali Domu Rekolekcyjnego. Ja telefonuję do wszystkich chętnych, uzgadniamy, co kto przyniesie, żeby samych śledzi nie było, i jest to bardzo piękne, smaczne wspólne kolędowanie.

Mogę z całą odpowiedzialnością powtórzyć to, co już powiedział Andrzej: czujemy się bardzo w tej wspólnocie osadzeni. ■



# JEDYNY TAKI BIEG



To było prawdziwe pomarańczowe święto. I choć nazwa koloru pochodzi od owocu pomarańczy, tego dnia kojarzyła się tylko z dynią. W Lesznowoli odbył się po raz trzeci dyniowy bieg. Na pomarańczowej bieżni, w pomarańczowych koszulkach stanęli i duzi, i mali, by jak najszybciej minąć pomarańczową metę.



Jest „Bieg Wisły” w Warszawie i „Bieg Rzeźnika” w bieszczadzkiej scenarii. Jest „Bieg Fabrykanta” w Łodzi i jest też „Panewnicki Bieg Dzika”. Są maratony, półmaratony i ćwierćmaratony. Są trasy dla zawodowców i takie, które pokonają również amatorzy. I wśród tych wszystkich biegów jest tylko jeden „Bieg po dynię”. A przecież to takie przyjemne warzywo.

Na tegorocznej imprezie w Lesznowoli uśmiechy właściwie nie schodziły z twarzy zawodników i kibiców. Cieszyli się i duzi, i ci mniejsi, bo nie tak nie poprawia nastroju, jak bieg w ważnej sprawie – a „Bieg po dynię” to sprawa ważna.

Na starcie stanęła więc dwuletnia Laura, trzyletni Nikodem z bratem Leonem i ich rówieśnik Leonard, a obok czteroletni Kacper i jego koleżanki Helena i Wiktor. Stał siedemdziesięciosześcioletni pan Jacek i trochę młodszy, choć starsi od Laury i Nikodema koleżka. Na szczęście lista startujących była profesjonalnie podzielona i każdy miał równe szanse w swojej grupie wiekowej.

Tym młodszym dzielnie towarzyszyli rodzice, tych starszych wspierali kibice. Niektórzy pierwszy raz w życiu pokonali metę, inni zrobili kolejne życiówki. Każdy, kto dobiegł do końca, był zwycięzcą i każdy dumnie nosił na piersi medal na pomarańczowej wstążce. A kiedy zmęczeni biegawcami zawodnicy zeszli już z bieżni, ich wycieńczone organizmy znalazły pocieszenie w cukrowej wacie, gorącej herbacie i pysznej zupie.

Sport sportem, ale nie samym biegiem człowiek żyje. W części artystycznej imprezy wystąpił więc Zespół Śpiewaczy Tęcza, a przy malarskim stole najmłodszy za pomocą farb udowodnił, że dynia nie zawsze musi być pomarańczowa, ale zawsze uśmiechnięta.

„Bieg po dynię” to po prostu świetna impreza sportowa, która z roku na rok zjednuje sobie coraz więcej sympatyków. ■



Nasze spotkanie zaczęliśmy od ustalenia dwóch faktów. Pierwszy, że mieszkanka naszej gminy, pani Agnieszka Buksowicz-Pilecka, jest urodzoną warszawianką. Drugi, że jako uczennica często zmieniła szkoły.



## Pani ambasador

Do pierwszej klasy szkoły podstawowej chodziła w Warszawie, do drugiej już w Kaarst, w Republice Federalnej Niemiec.

– Z tą drugą klasą było tak - mówi pani Eleonora, mama Agnieszki. – Kiedy z uwagi na moją pracę w Centrali Handlu Zagranicznego Metalexport musiałam w 1976 roku na kilka lat wyjechać do naszej nowej firmy w Düsseldorfie w RFN, zabrałam ze sobą rodzinę. Agnieszka skończyła właśnie pierwszą klasę podstawówki. Szukałam w Niemczech szkoły jak najbliżej miejsca zamieszkania, żeby babcia mogła ją do szkoły bezpiecznie odprowadzać.

### Tak i nie – „ja und nein”

– Znalazłam szkołę i poszłam na rozmowę z dyrektorem. Ponieważ Agnieszka nie rozumiała ani słowa po niemiecku, uważałam, że powinna pójść w nowej szkole do pierwszej klasy. Myślałam, że tak będzie dla niej lepiej. Dyrektorem szkoły w Kaarst był Węgier. Na dzień dobry powiedział mi: „Polak, Węgier – dwa bratanki” i poradził, bym zapisała Agnieszkę do klasy drugiej.

„Myśli pani – powiedział pan dyrektor – że jak ona ani słowa nie mówi po niemiecku, to w pierwszej klasie będzie jej łatwiej niż w drugiej? Będzie tak samo musiała poznawać dzieci i uczyć się języka”.

Był tak przekonujący i sympatyczny, że zapisałam Agnieszkę do klasy drugiej.

– Nigdy nie zapomnę tego pierwszego dnia w szkole. Wiedziałam tylko, że po niemiecku „ja”, znaczy „tak”, a „nein” znaczy po polsku „nie”, ani słowa więcej. Pierwszy raz do szkoły zaprowadziła mnie mama. Kurczowo trzymałam ją za rękę, a ona tę moją rękę podała w szkole koleżance i się ze mną pożegnała.

Przeżyłam swoją dziecięcą traumę, że idę w nieznaną. W tej gromadzie obcych dzieci, znałam w klasie tylko jedną dziewczynkę, która mieszkała obok nas, w sąsiedztwie. Razem wracałyśmy ze szkoły. Nie wiem, jak to się stało, ale po trzech miesiącach już się potrafiłam porozumieć.

– Było tak, jak przewidywał dyrektor szkoły – wtrąca mama pani Agnieszki. – Pamiętam, jak powiedział do mnie: „Niech pani będzie spokojna. Na Boże Narodzenie ona już otworzy usta i zacznie mówić”.

W tej szkole, dzieci na początku siedziały przy stolikach, tak jak w przedszkolu. Po czworo przy jednym stoliku. Szybko zauważyły, że Agnieszka ma zdolności do rysunków i wszystkie chciały z nią siedzieć. Jak trzeba było narysować rękę, nogę czy kolano, to Agnieszka wszystkim rysowała.

– Po czwartej klasie szkoły podstawowej zdałam egzamin do gimnazjum w Neuss. Do siódmej klasy chodziłam do szkoły w Niemczech. Bardzo dobrze wspominam ten okres. Gimnazjum było matematyczno-fizyczno-chemiczne im. Marii Skłodowskiej-Curie. Miałam tam bardzo wielu przyjaciół wśród uczniów i nauczycieli, z którymi do dziś utrzymuję kontakty.

Po ukończeniu siódmej klasy gimnazjum nastąpił powrót do Polski i do szkoły. Do ósmej klasy, bo u nas był wtedy system ośmioklasowy. Nie było to łatwe, bo okazało się, że mam bardzo duże zaległości z przedmiotów ścisłych. Przez cały rok musiałam przerabiać program, by zdać do liceum.

Ponieważ właściwie od dziecka uczyłam się języka niemieckiego i mówię nim biegle, w czasie matury zostałam zaproszona przez ambasadę niemiecką na spotkanie z prezydentem Niemiec Richardem von Weizsäckerem, rzecznikiem polsko-niemieckiego pojednania.

To spotkanie narobiło trochę kłopotów mamie, bo przecież były to jeszcze czasy, kiedy ktoś, kto miał kontakty z Niemcami Zachodnimi, był podejrzany, a tu osiemnastoletnia dziewczyna idzie na spotkanie z prezydentem RFN. Wiadomo, co powie?

Po maturze zdecydowałam, że pójde w ślady mamy, i skończyłam studia na SGH na Wydziale Handlu Zagranicznego.

Pierwszą pracę zawodową po studiach pani Agnieszka podjęła w znanej niemieckiej firmie chemiczno-farmaceutycznej Bayer, która od 1991 roku była obecna na polskim rynku. Po kilku latach, razem z trójką innych osób założyła firmę APC Instytut i od dwudziestu jeden lat zajmuje się rynkiem farmaceutycznym, między innymi consultingiem, rejestracją leków, dopuszczaniem do obrotu suplementów diety i wyrobów medycznych.

### Aktywna mama

Dzieci pani Agnieszki nie miały takich doświadczeń ze szkołami jak mama, bo do szkoły chodziły w Łazach. Kiedy Asia, najstarsza córka, szła do zerówki, szkoła w Łazach miała trzy lata. W ubiegłym roku szkołę tę skończył syn pani Agnieszki – Jan.

Piszemy o tym dlatego, bo jak się okazało, szkole w Łazach bardzo przydały się przyjaźnie nawiązane w czasie pobytu pani Agnieszki w Niemczech i jej praca zawodowa.

Asia powinna chodzić do szkoły w Lesznowloli, bo to jest jej rejon, ale ja bardzo chciałam, by chodziła do nowej szkoły w Łazach. Bardzo mi się ta szkoła podobała – wspomina pani Agnieszka. – Nie wiedziałam, jak to załatwić, i poszłam na rozmowę do pani dyrektor Zofii Doktorskiej. Pani dyrektor wysłuchała moich racji i powiedziała, abym napisała list motywacyjny, w którym uzasadnię moją prośbę.

Napisałam list i dodałam, że będę bardzo aktywną mamą i jak umiem, będę szkole pomagała. Muszę powiedzieć, że do dziś, choć już w szkole dzieci nie mam, jestem aktywną mamą, zapraszana na wszelkiego rodzaju szkolne uroczystości. Ostatnio byłam zaproszona na otwarcie nowej szkoły w Łazach.

Zacząło się od tego, że któregoś dnia, jakoś tak przed Bożym Narodzeniem, Asia przysłała ze szkoły i powiedziała, że w szkole jest zbiórka darów dla domów



*...napisałam list i dodałam,  
że będę bardzo aktywną mamą*

dziecka. Darami mogą być pieniądze, witaminy, odzież, buty i tym podobne rzeczy. No, skoro obiecałam, że będę aktywną mamą, pomyślałam o swoich kontaktach i zaprzyjaźnionych firmach. „Jak ładnie poproszę, to pewnie nie odmówią” – pomyślałam i zaczęłam działać.

Miałam rację. Nie odmówili. Udało mi się zebrać kilka kartonów odzieży, bo znalazła się firma, która szyje odzież dziecięcą do supermarketów, a przedtem pokazywała wzory. Z tymi wzorami nie miała co zrobić, więc przekazała nowiutkie rzeczy na zbiórkę. Pojechałam, załadowałam do samochodu kartony i przewiozłam do szkoły.

Z firm farmaceutycznych pozyskałam witaminy, a od zaprzyjaźnionej firmy z Frankfurtu udało się uzyskać środki finansowe. Od firmy Rodel, firmy mojej mamy, która jest przedstawicielem CERATIZIT-Luksemburg i zajmuje się sprzedażą węglików spiekanych i półfabrykatów z węgla spiekane do produkcji narzędzi, również uzyskałam środki finansowe. W ten sposób, jako aktywna mama wypełniłam po raz pierwszy swoje zobowiązanie.

Jak się państwo pewnie domyślają, po tym udanym pierwszym kroku przyszły kolejne. Aż stało się to bożonarodzeniową tradycją. Z każdą sprawą pani dyrektor Zofia Doktorska mogła się do mnie zwrócić.

Pewnego razu, pani dyrektor zwróciła się do mnie za dość nietypową prośbą. Chodziło o to, że dzieci, które

w gimnazjum uczą się języka francuskiego, mają wymianę językową ze szkołą we Francji. Natomiast dla dzieci, które uczą się języka niemieckiego, mimo prób nie udało się takiej wymiany załatwić, i czy ja bym nie pomogła znaleźć odpowiedniej szkoły w Niemczech.

Pomyślałam, że najlepiej jest zwrócić się w tej sprawie do placówki, w której się uczyłam, czyli do mojej szkoły w Neuss. Wątpliwość miałam tylko jedną. Jak zachęcić tych z Zachodu, żeby zamiast wybierać Francję czy Anglię, bo uczą się tych języków w szkole, wybrali Polskę? Po co im język polski, którego w szkole się nie uczą?

Na szczęście w szkole w Neuss był jeszcze nauczyciel, który mnie uczył niemieckiego. Wysłuchał mnie, przemyślał moją propozycję i powiedział: „Napisz plan działania podczas takiej wymiany i zaznacz, że językiem wymiany będzie język angielski, bo jak mówisz, w szkole w Łazach dzieci też uczą się angielskiego”.

Tak się dodatkowo szczęśliwie złożyło, że ta sprawa wyszła w roku Marii Skłodowskiej-Curie, patronki szkoły w Neuss. Napisałam więc, że w programie będzie odwiedzenie miejsc związanych z życiem i historią patronki ich szkoły. Odwiedzenie muzeum Marii Skłodowskiej-Curie, Muzeum Kopernika i innych miejsc. Projekt przeszedł i w 2011 roku przyjechała na wizytację dyrektorka szkoły i towarzyszące jej nauczycielki. Jak zobaczyły szkołę w Łazach to – przepraszam za określenie – szczęki im opadły.

Zobaczyły piękny budynek, zobaczyły, jak pięknie jest w Magdalence, jak zielono, jak wyposażona jest szkoła. Pani dyrektor Zofia Doktorska ułożyła trzydniowy, bardzo atrakcyjny program wizyty. Panie zobaczyły klasy językowe wyposażone w komputery, stanowiska do nauki ze słuchawkami, monitory i ekrany multimedialne, o których jeszcze w Neuss nie wiadomo, zwiedziły Centrum Kopernika, muzeum Marii Skłodowskiej-Curie, obejrzały Starówkę, zostały zaproszone do naszego domu na kolację, podczas której wszyscy biegło mówili po niemiecku, i wyjechały pod wielkim wrażeniem.

Sprawa wymiany językowej ze szkołą w Neuss została załatwiona. Prowadzi ją pani Lucyna Bajak, nauczycielka języka niemieckiego w szkole w Łazach. We wrześniu przyjeżdża do szkoły w Łazach grupa dzieci z Niemiec, a w maju, po egzaminach, jadą do Niemiec nasi uczniowie. W Neuss dzieciaki tak rozreklamowały wymianę, tak opowiadają o tym, co tu przeżyły, że liczba zgłaszających się do przyjazdu do Łaz przekracza możliwości wymiany. Szkoła musiała w związku z tym wprowadzić kryteria kwalifikacyjne, żeby ten problem rozwiązać.

Powiem nieskromnie, że ta wymiana bardzo mi się udała. Za tą wymianą językową przyszła kolejna, zupełnie w innej dziedzinie, choć też związana ze szkołą.

Pewnego razu przyjmowałam w naszym domu mojego partnera biznesowego, Wolfganga Witzla, który przeznaczał środki finansowe na bożonarodzeniowe akcje

*...liczba zgłaszających się  
do przyjazdu do Łaz prze-  
kracza możliwości wymiany*



szkoły w Łazach. Zaczęliśmy rozmawiać, że podczas tej wymiany niemieckie dzieci nie nauczą się polskiego, a polskie języka niemieckiego, ale jest jeden język, w którym łatwo się porozumieją. To język muzyki. Wolfgang miał w swojej firmie pana, którego żona Marion prowadzi prywatną szkołę gry na akordeonie – „Viva Musica”, szkoła Marion i Vivien Muehlhoff.

Doszliśmy do wniosku, że jest to pomysł wart zastanowienia.

Porozmawiałam z panią dyrektor Doktorską, przedstawiłam propozycję, powiedziałam, że strona niemiecka udostępni program nauczania, tak żeby w obu szkołach był jednakowy, a Wolfgang to wszystko w ramach swojej fundacji sfinansuje. I od 2012 roku projekt został wprowadzony w życie.

Najpierw dzieciaki dostały ze szkoły w Niemczech melodeony (instrumenty klawiszowe) do nauki, a gdy opanały grę na nich, dostały w użytkowanie akordeony.



...to, co robię dla szkoły,  
sprawia mi ogromną frajdę



Powstał w Łazach zespół akordeonistów i co roku są wspólne polsko-niemieckie koncerty. Marion zna płynnie język polski a jej córka Vivien z powodu wspólnego projektu muzycznego uczy się języka polskiego i od czasu do czasu przyjeżdża na szkolenia do Łaz.

Pierwszy wspólny koncert z towarzyszeniem chóru dzieci zagrały w 2013 roku w teatrze w Berlinie jeszcze na melodykach.

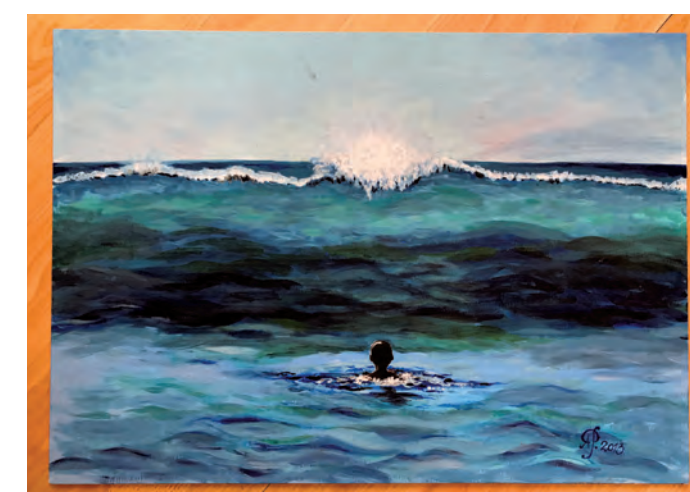
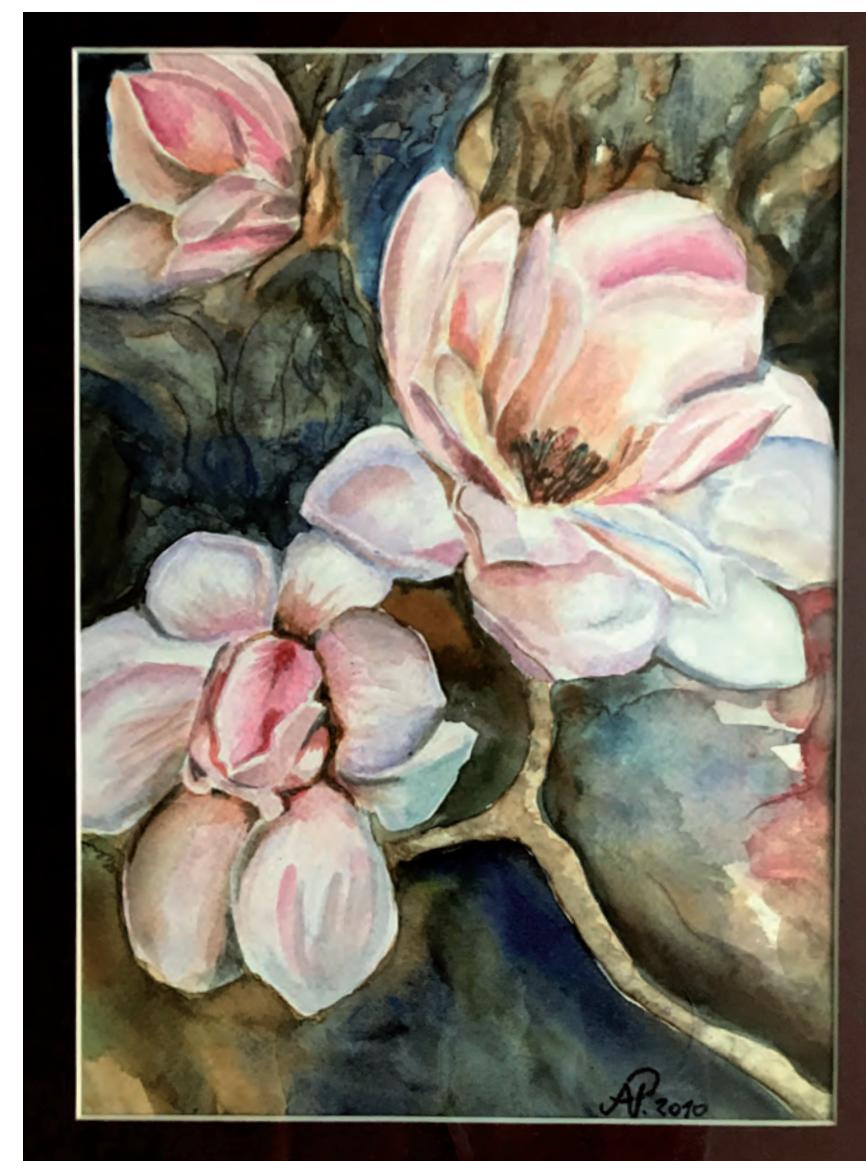
Dwa lata temu trzydziestka akordeonistów ze szkoły Marion przyjechała do Łaz i też były wspólne koncerty.

Ostatnio, jako aktywna mama, pomogłam szkole w założeniu i utrzymaniu ogródków dydaktycznych. Znowu wykorzystałam swoje przyjaźnie i uzyskałam pomoc finansową dla szkoły, tym razem od przyjaciół z firmy w Luksemburgu. Drugi rok firma wspomaga ten program w szkole.

– Muszę się przyznać – mówi na koniec spotkania pani Agnieszka – że to, co robię dla szkoły, sprawia mi ogromną frajdę. Bo po pierwsze widać wymierne rezultaty moich starań. To, co zaczynamy, świetnie się później rozwija. Po drugie, wywiązuję się ze złożonego kiedyś zobowiązania. Ponieważ moja aktywność wykracza poza granice kraju, szkoła nadała mi honorowy tytuł Ambasadora Szkoły. Przy wszystkich uroczystościach szkolnych tak jestem witana. Jestem z tego bardzo dumna.

Na nasze pytanie o pasję pani Agnieszki, pada odpowiedź – maluję. Owoce tej pasji przedstawiamy na zdjęciach. ■

fot. z archiwum Viva Musica, szkoły Marion i Vivien Muehlhoff



# POD PIRACKĄ BANDERĄ



To była zdrowa rywalizacja pod czujnym okiem pirackiej braci. I choć piraci przeważnie mają nie najlepsze intencje, w tym dniu zmienili charakter swojej zbójnickiej natury i cała ich energia skupiła się na dawaniu radości. W hali sportowej Zespołu Szkół Publicznych w Łazach już po raz dwunasty odbyła się Tataspartakiada.



Niepełnosprawni sportowcy razem ze swoimi ojcami i opiekunami ruszyli na start. I choć nazwa imprezy sugeruje udział tatusiów, to niesprawiedliwie byłoby pominąć wszystkie dzielne mamy, które również walczyły o punkty.

Zanim jednak ogłoszono start pierwszej konkurencji, pomysłodawca całej imprezy Jacek Zalewski ze stowarzyszenia „Dobra Wola”, założył symboliczną koszulkę z napisem Tataspartakiada, którą dostał od Jacka Arendarskiego, prezesa Mazowieckiego Związku Pracodawców w gminie Lesznówola. Potem zabrzmiał nieoficjalny hymn imprezy.

Długi korowód w rytm piosenki Ryszarda Rynkowskiego „Jedźcie pociąg z daleka”, składający się z uczestników, rozszalał się po całej sali, zapewniając taneczną rozgrzewkę przed rywalizacją.



Były konkursy, sportowe pokazy, atrakcje artystyczne, mnóstwo niespodzianek, a na koniec puchary dla najlepszych. W razie pożaru, bo z piratami jednak do końca nie wiadomo, w pogotowiu czuwała pierwsza w Polsce straż pożarna składająca się z osób z zespołem Downa.

Tego dnia każdy z zawodników dał z siebie wszystko na miarę własnych możliwości, a dobra zabawa była chyba ważniejsza niż zdobyte punkty i zajęte miejsca. Duch rywalizacji unosił się nad szkołą w Łazach przez wiele godzin, a potem odleciał, by nabrać sił na kolejny rok. ■



# Moja Polandia

Był rok 1983. Siedemnastoletni Jordańczyk Ahmad Al-Saaiydeh zdał w liceum egzamin maturalny. Zdał tak dobrze, że postanowił ubiegać się o stypendium na studia. Złożył dokumenty w jordańskim ministerstwie edukacji i ku swojemu zaskoczeniu został zaproszony do Ammanu.

– Ja nie wybierałem Polski. Za mało o niej wiedziałem. Kiedy znalazłem się na liście stypendystów rządu jordańskiego, zostałem zaproszony do polskiej ambasady w stolicy Jordanii w Ammanie – wspomina pan Ahmad. – Nie pamiętam, czy to była rozmowa z konsulem, czy z ambasadorem, ale pytano mnie, co wiem o Polsce. A ja byłem kompletnie zielony. Nie wiedziałem nic. Myliła mi się Polonia z Holandią, nic nie wiedziałem o Lechu Wałęsie i nic nie wiedziałem o „Solidarności”.

Na liście przygotowanej przez ministerstwo edukacji Jordanii, którą przekazano do polskiej ambasady, było nas siedemnastu. Ci, co mówili, że wiedzą, kto to jest Lech Wałęsa, wiedzą, co się w Polsce dzieje, i słyszeli o „Solidarności”, nie przeszli rozmowy kwalifikacyjnej. Ja przeszedłem. Potem musiałem zdać

egzaminy z przedmiotów ścisłych, bo byłem zakwalifikowany na studia techniczne. Zdałem i znalazłem się w Polsce.

## Twarde lądowanie

– Przyleciałem do Polski w pierwszej połowie 1983 roku. Sam jak palec ze skierowaniem do studium języka polskiego w Łodzi. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobiła na mnie Łódź, jakie zrobiła na mnie Polska. Przyleciałem do smutnego kraju. Wydawało mi się, że wszystko jest szarobure. Do mojej świadomości dopiero tu, na miejscu dotarło, że w Polsce trwa stan wojenny.

Zobaczyłem puste półki w sklepach, kartki na żywność. Po dwóch dniach chciałem wracać do Jordanii. W moim rodzinnym kraju było wszystko. Tu były sklepy PEWEX i Baltona, w których towary sprzedawano za bony lub dolary. W normalnych sklepach za złotówki był tylko ocet.

Ponieważ nie miałem jeszcze osiemnastu lat, dostałem kartki na żywność z kuponem na wyroby czekoladopodobne.

Zatelefonowałem do mojego ojca i powiedziałem, że ja tu nie wytrzymam. Ojciec wysłuchał mnie spokojnie i odparł: „Wytrzymaj, chociaż miesiąc. Zobaczysz, jak będzie. Może się to wszystko jakoś ułoży. Ponieśliśmy przecież koszty twojego wyjazdu, więc posiedź miesiąc, a potem razem podejmiemy decyzję”.

Pomyślałem wtedy, że ja już decyzję podjąłem. Wracam za miesiąc do Jordanii. Zrobiło mi się lżej na duszy i postanowiłem przez ten miesiąc pojeździć po Polsce. Popatrzeć jak jest, trochę poznać kraj. Pojechałem między innymi do kolebki „Solidarności”, do Gdańska.

Po miesiącu zmieniłem zdanie. Zatelefonowałem do ojca i powiedziałem, że przemyślałem wszystko i zostaję. Myślę, że w domu tę moją decyzję przyjęto z ogromną ulgą. Byłem najstarszym wśród dziesięciorga dzieci i studiowałem za granicą.

W studium mieliśmy normalne zajęcia. Uczyliśmy się nie tylko języka, ale wszystkich przedmiotów, które musieliśmy poznać, by zdać egzaminy. Mieliśmy język polski, historię, geografę, biologię, matematykę, fizykę, chemię. Wszystkie te przedmioty, jakie mieli polscy maturzyści w liceum. Kurs trwał dziesięć miesięcy.

Najbardziej lubiłem historię i język polski. Obie nauczycielki po prostu szczerze pokochałem. Były wspaniałe. W studium mieliśmy opiekunkę. Trafiłem na dobrą wychowawczynię. Jej syn był urodzony tego samego dnia co ja, dwudziestego trzeciego kwietnia. Traktowała mnie jak syna i tak naprawdę to dzięki niej postanowiłem zostać w Polsce. Zresztą cały personel studium był bardzo dobry i profesjonalny.

Po dziesięciu miesiącach nauki trzeba było zdać egzaminy pisemne i ustne ze wszystkich przedmiotów. Zdałem z wyróżnieniem. Nie było mnie stać na powtarzanie roku, bo za wszystko trzeba było płacić. Byłem gotów, by podjąć studia.

## Krakowska miłość

Po skończonym kursie w Łodzi osiemnastoletni już Ahmad Alsaaiydeh mógł wybrać uczelnię, w której chciał studiować.

– Wybrałem wydział elektryczny na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Studia skończyłem w 1990 roku i postanowiłem zrobić doktorat. Chciałem go robić w Krakowie, napisałem do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i dostałem zgodę, by otworzyć przewód doktorski na Politechnice Warszawskiej. Zrobiłem doktorat z ochrony środowiska, bo wtedy rozwijały się elektrownie pracujące na węglu i temat był bardzo aktualny.

Jeszcze w okresie moich studiów skończył się stan wojenny, skończył się tutaj komunizm i Polska zaczęła się otwierać na świat. Już nie musieliśmy chodzić na pochody pierwszomajowe. Zaczęły powstawać różne firmy, rozwijały się międzynarodowe

kontakty i potrzebni byli tłumacze. Zaczęło się robić fajnie. Poznałem moją przyszłą żonę.

Gdy Ania nie była jeszcze moją żoną, otworzyły się możliwości wyjazdu na stałe do Australii. Złożyliśmy papiery do ambasady, mieliśmy odpowiednią ilość punktów i czekaliśmy na decyzję. No i decyzja przyszła. Była pozytywna. Ale przez ten czas oczekiwania, zacząłem intensywnie pracować. Było tak wielkie zapotrzebowanie na tłumaczy, że pojechaliśmy do ambasady i ku wielkiemu zaskoczeniu urzędników i ludzi stojących tam w kolejce, zrezygnowaliśmy z wyjazdu. Nigdy tej decyzji nie żalowaliśmy. Bóg czuwał. Kto wie, co byśmy tam robili? Może bylibyśmy samotnymi ludźmi bez dzieci, szukającymi przygód?

Pamiętam, że wtedy w Polsce wszystko trzeba było „załatwić”. Jak ktoś budował dom, to wiedział, że będzie budował długo, bo wszystkiego na raz nie dało się załatwić. Wszystko to, będąc w Polsce, razem z Polakami przeżywałem.

Bardzo miło wspominać czas spędzony w Krakowie. Podczas wakacji wyjeżdżaliśmy z kolegami do Szwecji, Niemiec czy innych krajów, by trochę dorobić. Miałem paszport, byłem obywatelem świata, mogłem jeździć. Ale nie tylko dlatego wspominał tamten krakowski okres z wielkim sentymentem. Przecież w Krakowie, jak wspominałem, poznałem moją żonę.

To był czysty przypadek. Byłem na czwartym roku studiów i poszedłem któregoś dnia z kolegą do kawiarni. On był umówiony z dziewczyną, która przyszła na to spotkanie ze swoją koleżanką. Poznaliśmy się i była to miłość od pierwszego wejrzenia. Chodziłem za nią bardzo długo. Parę lat. Dotąd, aż została moją żoną. Nie było to łatwe, ale mam słabą pamięć i nie pamiętam szczegółów – śmieje się pan Ahmad. – Może żona pamięta więcej.

– Rzeczywiście, to był czysty przypadek – mówi pani Ania. – Poszłam z koleżanką na kawę i w kawiarni

fot. z archiwum prywatnego Ahmada Al-Saaiydeha



...Polandia stała się  
moją drugą ojczyzną



poznałam Ahmada. Naprawdę coś od razu między nami zaiskrzyło, bo zaczęliśmy się spotykać i tak spotykaliśmy się przez siedem lat. Jeszcze przed ślubem polecałam z Ahmadem do Jordanii i poznałam jego rodzinę. Moja zaakceptowała go od razu.

– To był zabawny epizod. Ania z Ammanu wracała sama, a ja jeszcze zostałam w Jordanii. Odwiozłem ją na lotnisko w Ammanie i na lotnisku myśleli, że jest stewardesą. Często lataliśmy do Jordanii, bo nie mieliśmy dzieci. Potem się wszystko zmieniło.

Zamieszkaliśmy razem w Warszawie i tuż przed obroną mojego doktoratu wzięliśmy ślub. Pobraliśmy się tak późno, że teraz się śmiejemy, bo nasi znajomi i koledzy często są już dziadkami, a my właśnie wychowujemy dzieci. Kiedy my się bawiliśmy, oni wychowywali dzieci, teraz my wychowujemy dzieci, a oni się bawią. Taka to sprawiedliwość – śmieje się Ahmad.

### Wszędzie dobrze, ale...

– Nie było nam w życiu łatwo – mówi pani Anna. – Nie byliśmy zamożni. Przyjechaliśmy z Krakowa do Warszawy starym samochodem ze starą lodówką, starymi garnkami i zamieszkaliśmy w akademiku.

Po kilku dniach chciałam uciekać do Krakowa. Kraków był przytulny, cichy, tam była rodzina, a tu w Warszawie szum, hałas, inny rytm. Przeżyłam szok. Dopiero jak dostałam pracę, zrobiło się trochę lepiej, choć dokuczał nam brak mieszkania. Zmienialiśmy akademiki, wynajmowaliśmy mieszkania i znowu wracaliśmy do akademika. Mimo tego, że życie w akademikach było wesołe, bo mieliśmy mnóstwo przyjaciół, znajomych, byliśmy młodzi, męczyliśmy się. Przez kilka lat było nam naprawdę ciężko. Najbardziej przykre było to, że nie mieliśmy tu żadnej rodziny.

– Wiecie, państwo, jak tak się dziś zastanawiam, to nie mógłbym

już mieszkać w Jordanii. Nie mógłbym mieszkać w Niemczech, choć często tam wyjeżdżałem. Nie mógłbym mieszkać we Francji, Anglii, Kanadzie. Lubię jeździć z dziećmi do Szwecji, bo to kraj stworzony dla dzieci, ale nigdy nie chciałbym w Szwecji mieszkać.

Wczoraj wróciłem z Emiratów Arabskich z Dubaju. Mieszka tam wielu Polaków. Rozmawiałem z nimi i w życiu nie chciałbym tam mieszkać.

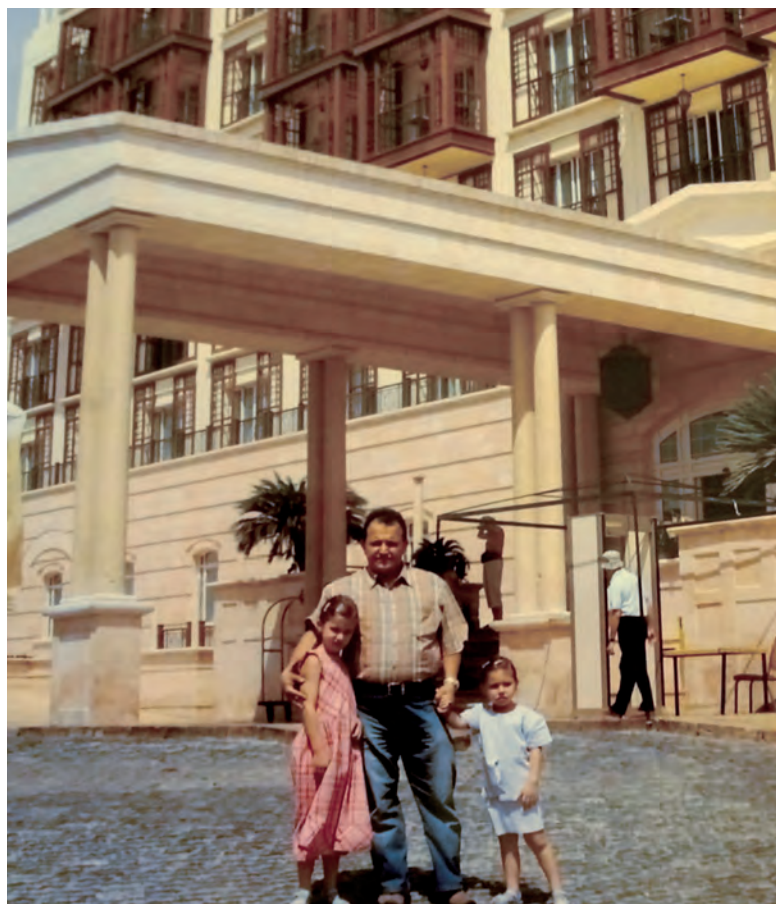
Do Marysina trafiliśmy dzięki naszym znajomym, którzy tu mieszkali. To byli Jagoda i Andrzej Kowalscy. Andrzeja poznałem w pracy. Zaprzyjaźniliśmy się i zaczęliśmy w weekendy przyjeżdżać do Marysina. To było dwadzieścia pięć lat temu. Oboje zresztą byli świadkami na naszym ślubie.

Na kupno działki namówiła nas Jagoda. Dotąd nas namawiała, aż w 1994 roku namówiła. Trzy lata później zaczęliśmy budować dom.

Nie było łatwo. Trzeba się było nachodzić, żeby dostać pozwolenie na budowę, ale jak już było pozwolenie, to dzięki pomocy Jagody i Andrzeja wszystko ruszyło. Od nich, w ramach sąsiedzkiej pomocy, mieliśmy prąd i wodę. To byli wspaniali, młodzi ludzie. Niestety, los ich nie oszczędził i nie mogliśmy się długo cieszyć z ich sąsiedztwa. Oboje odeszli z tego świata, zostawiając małe dzieci. Jagoda miała 36 lat, a Andrzej 42 lata. Wielu mieszkańców, dziś naszych sąsiadów, poznaliśmy dzięki nim, zanim zaczęliśmy budować dom.

– Najpierw urodziła nam się jedna córka, potem druga, a następnie syn. Suzana, Sandra i Riad. Jak matka Polka przestałam pracować. Siedzę w domu i zajmuję się dziećmi – śmieje się pani Anna.

– Najstarsza córka chodzi do trzeciej klasy liceum w Warszawie, druga do trzeciej klasy gimnazjum w Mrokwie, syn do pierwszej klasy podstawówki w Mrokwie. Czasem w wakacje wyjeżdżamy do Jordanii, ale dzieci nie chcą tam być długo. Zaraz chcą wracać do domu.



Jak były małe, to chętniej z nami wyjeżdżały, bo mąż ma liczne rodzeństwo, są tam małe dzieci, więc dzieciaki się razem bawiły. Teraz, gdy są starsze, wolą inne formy spędzania wakacji. Dzieci w ogóle wolą „zieloną szkołę” niż wyjazdy z rodzicami. Nasz syn dwa razy w tygodniu chodzi na treningi piłki nożnej i jest szczęśliwy. Nowa hala w szkole w Mrokowie, wspaniali trenerzy, piękne boisko. Po prostu super. Warunki luksusowe i wszystko doskonale zorganizowane.

– Trzeba powiedzieć, że nasza wójtowa pieniędzy na oświatę nie

żałuje. Szkoły, to dla niej oczka w głowie, jak to się mówi – wtrąca pan Ahmad.

– Obie córki bardzo dobrze się uczą, mają wielkie osiągnięcia sportowe. Najstarsza, kiedy jeszcze chodziła do szkoły w Mrokowie, ustanowiła rekord szkoły w bieganiu. Sandra gra w szkolnej drużynie piłki nożnej i jej drużyna awansowała do eliminacji wojewódzkich. W Jordani nie miałyby takich warunków, jakie mają tutaj.

Coś państwu powiem. Trzydzieści pięć lat temu nie wiedziałem o Polsce nic. Polonia myliła mi się

z Holandią. Los tak chciał, że ta Polonia stała się moją drugą ojczyzną. Nigdzie bym stąd nie wyjechał.

Byłem tu w chwilach złych i dobrych. I powiem więcej. Gdybym miał wszystko zaczynać jeszcze raz, wybrać kraj, w którym chciałbym studiować, a później w nim żyć, to jeszcze raz wybrałbym Polskę. Wtedy trafiłem tu przez czysty przypadek. Dziś byłby to mój świadomy wybór. ■



*...gdybym miał wybierać kraj,  
w którym chciałbym studiować,  
a później żyć, to jeszcze raz  
wybrałbym Polskę*



Jedni mówią Wiesia, inni dodają Wiesia krawcowa. – Musicie koniecznie ją poznać – powiedziała Maja Troszkiewicz, o której pisaliśmy w wakacyjnym wydaniu „mojej Lesznowoli”, w tekście pt. „Kim jestem?”. To bardzo piękna wewnątrz i zewnątrz osoba – rekomendowała pani Maja.

fot. z archiwum prywatnego Wiesławy Płodzik

# Zwyczajne życie



Zatelefonowałem do pani Wiesi, czyli Wiesławy Płodzik. Zapytałem, czy zna nasz miesięcznik. Odpowiedziała, że zna, a więc wie, że piszemy o ludziach z naszej gminy, których z jakichś powodów warto poznać i przedstawić Czytelnikom. Zdziwiła się, że do niej dzwonię, bo po pierwsze uważa się za zwykłą kobietę, która niczym specjalnym się nie wyróżnia, po drugie kompletnie nie ma czasu na spotkanie. Właśnie wyjeżdża do sanatorium, żeby trochę podleczyć nadwątlone zdrowie. Umawiamy się, że będę dzwonił, gdy wróci.

Dzwonię w połowie października. Znowu słyszę, że nie warto, że nie ma czasu. Nalegam. Wreszcie się udaje. Umawiamy się na spotkanie za tydzień. Wpisujemy datę i godzinę do kalendarza i... dzwoni pani Wiesia. Niestety, musi odwołać spotkanie. Nauczycielka rysunku przełożyła zajęcia i trzeba zmienić termin, bo pani Wiesia zajęć opuścić nie może. Proponuje spotkanie za dwa dni, „jeśli już musimy się spotkać”.

## Kobieta pracująca

To nie była łatwa rozmowa. Pani Wiesia przeświadczona, że nie warto tracić czasu na rozmowę, bo „nie ma nic ciekawego do opowiedzenia”, próbowała nas o tym przekonać.

Mieszka sama od lat. Zdrowie jak zdrowie, raz lepsze, raz gorsze. A w domu jak to w domu. Czasem trzeba wziąć do ręki wiertarkę, innym razem przypilnować deskę, wygładzić tynk na ścianie, przymocować do ścian listwy przypodłogowe, zrobić na poddaszu podsufitkę. Najpierw między legarami umocować płyty styropianowe, a potem przykryć je drewnianą boazerią. Dla pani Wiesi żadna sztuka. Mogłaby ze spokojem powiedzieć jak Irena Kwiatkowska w filmie „Czterdziestolatek”: „Ja jestem kobieta pracująca, żadnej pracy się nie boję”.

I jest tak odkąd pamięta. Od czasu, gdy opuściła Warszawę i przeniosła się do Magdalenki, bierze się z powodzeniem za roboty powszechnie uznawane za męskie i nawet to lubi.

Pewnego dnia poszła do Ikei, by obejrzeć szafki kuchenne z wysuwanymi szufladami. Dokładnie przyjrzała się mechanizmowi, który pozwala na ich wysuwanie, kupiła, co trzeba i zamontowała takie szuflady w szafkach swojej kuchni. Jest z tego bardzo dumna i te szuflady zaraz na początku wizyty musieliśmy obejrzeć. Ale to przecież nic nadzwyczajnego. W jej życiu to normalka. O czym tu opowiadać.

## Dzieciństwo jak dzieciństwo

Nic szczególnego. Urodziła się w Łodzi, w rodzinie łódzkiej włóknianki. Mama o piątej rano szła na pierwszą zmianę do pracy, a Wiesia czekała, aż obudzi się rodzeństwo. W wieku dziesięciu lat miała już obowiązki. Gdy tylko otwierali zakładowy żłobek, brała zimą sanki, owijała najmłodszą siostrę w chustę i wiozła do żłobka. Latem było łatwiej. Narzucała na siebie chustę, brała

małą pyzę na ręce i niosła do żłobka. Potem wracała do domu, dawała śniadanie młodszej o dwa lata siostrze i odprowadzała ją do szkoły. Ponieważ ojciec był chory na gruźlicę, mama dorabiała, szyjąc chusty. Wiesia brała kawał materiału, składała na pół i dotąd tarła w rękach, aż w środku powstawały między dwoma kawałkami cienkie paski, które po przecięciu dawały na chustach frędzle. Od tej pracy miała ciągle boleśnie pozdzierane nadgarstki.

Chodziła do szkoły i całkiem dobrze dawała sobie radę. Brała udział w kółku recytatorskim, tanecznym, występowała na szkolnych akademiach. Znajomi mieli pianino i dwie córki, które uczyła gry pani od muzyki. Ojciec dziewczynek, dobry człowiek, zaproponował, by pani nauczycielka, w czasie gdy dziewczynki miały przerwę, poświęciła trochę czasu Wiesi.

– Po trzech miesiącach ja już grałam na pianinie, a one nie. Ja grałam, bo chciałam się uczyć, a one nie grały, bo musiały się uczyć. Tak chciałam się uczyć, że narysowałam sobie klawiaturę na papierze i w domu ćwiczyłam. Wieczorem, gdy już się w domu obrobiłam, biegłam do zakładowej świetlicy, stróż mnie wpuszczał i ćwiczyłam na pianinie. Po trzech miesiącach ojciec dziewczynek doszedł do wniosku, że pani nauczycielka chyba za dużo czasu mi poświęca, skoro lepiej gram od córek, i moja edukacja muzyczna się skończyła.

Bardzo chciałam chodzić do szkoły muzycznej i uczyć się gry na skrzypcach. Zazdrościłam wujkowi, który grał na tym instrumencie – wspomina pani Wiesia. – Poszłam do szkoły, powiedziałam, że chcę się uczyć gry na skrzypcach, bo wujek ma skrzypce, ale oni odparli, że jestem za stara. Byłam wtedy w piątej klasie. Zaproponowali mi wiolonczelę, ale nie powiedzieli, że ten instrument można ze szkoły wypożyczyć. Nie miałam wiolonczeli, więc znowu mi nie wyszło. Niestety nie miałam nikogo, kto by mnie dopingował, kto by mnie popchnął. Wszystko sama i wszędzie sama.





Kiedy miała siedemnaście lat, wygrała ogólnopolski konkurs recytatorski, deklamując balladę Adama Mickiewicza *Świtezianka* i z podkładem muzycznym *Koncert Jankiela*. Do dziś ten występ dobrze pamięta.

*Mistrz zawsze patrzył w niebo czekając natchnienia.  
Spojrzył z góry, instrument dumnym okiem zmierzył,  
Wzniósł ręce, spuścił razem, w dwa drążki uderzył,  
Zdumieli się słuchacze...  
Razem ze strun wiele  
Buchnął dźwięk, jakby cała janczarska kapela  
Ozwała się z dzwonkami, z zelami, z bębenki...*

Pamięta, bo po koncercie zaproponowano jej porzucenie szkoły w Łodzi i przeniesienie się do Kielc albo Katowic do studium aktorskiego.

– Ponieważ byłem niepełnoletnia, wezwano mamusię do szkoły i powiedziano, że taka jest propozycja.

Mama nie zgadzała się, bym została aktorką, bo uważała, że aktorki, by dostać rolę, muszą się z kimś prześpać. Porzuciłam więc myśl o aktorstwie. Skończyłam szkołę krawiecką i zaczęłam pracować w domu mody Telimena, w biurze konstrukcyjno-technologicznym. Czasem też dorabiałam jako tak zwana modelka przemysłowa. Gdy przeniosłam się do Warszawy, zrobiłam dyplom mistrza krawieckiego jako najmłodsza osoba w tym cechu.

### Nie będę tancerką

– Nim wyszłam za mąż, tańczyłam w Łodzi w Zespole Pieśni i Tańca Strzelczyka. Gdy zostałam mężatką, musiałam zespół pożegnać. Po koncercie wyjazdowym do Anglii małżonek doszedł do wniosku, że nie może zgadzać się na moje próby i wyjazdy. Mimo prośb całego zespołu, musiałam marzenia o karierze tanecznej porzucić.



Z tym moim mężem było tak, że on mi zawsze włączał wsteczny bieg. Zawsze mnie hamował. Może dlatego, że był samochodziarzem? Nie wiem. Taki miał charakter. Zawsze pytał: „Po co ci to? Na co ci to?”

Bardzo podobał mi się Kraków. Zawsze mówiłam do mamy: „Wiesz co, mama, jak wyjdę za mąż, to na pewno za chłopaka z Krakowa. No, może z Warszawy”. I trafił mi się ten z Warszawy. Przystojny jak amant filmowy, ale hamulcowy. Nie wytrzymałam tego ciągłego hamowania i w końcu, po dwudziestu sześciu latach, rozstaliśmy się. Znowu w życiu było pod górkę.

Działkę w Magdalence kupiłam jakieś czterdzieści lat temu. Byłam wtedy jeszcze bardzo młoda, bo miałam trochę więcej niż trzydzieści lat. Nie było tu nic tylko krzaki. Kilkuhektarowy prostokąt, usiany betonowymi bombami, które zrzucano z samolotów, kiedy piloci przed wojną i jeszcze podczas wojny ćwiczyli celność zrzutów. Po wojnie cały teren zalesiono. Drzewko przy drzewku.

Kiedy kupiłam działkę, musieliśmy drzewka wycinać siekierą, żeby dotrzeć do drogi. Ulicy Środkowej jeszcze nie było, a przez moją działkę chłopci jeździli furmankami. Gdy wyszłam od notariusza jako posiadaczka działki, to do końca miesiąca zbierałam i sprzedawałam butelki, bo nie starczało na życie. Pojęcia nie miałam, że tak dużą opłatę sądową będę musiała zapłacić. Byłam wtedy naprawdę bardzo biedna. Życie miałam ciężkie, ale chyba należę do ludzi twardych.

### Spotkanie z nieuchronnym

– Amerykański uczonec i polityk Benjamin Franklin mówił, że „na tym świecie pewne są tylko śmierć i podatki”. Płacenie podatków poznałam wcześniej, bo miałam pracownię krawiecką. Nie przypuszczałam, że ze śmiercią spotkam się równie wcześnie. Ale chyba nie chcę mnie tam w górze, bo ciągle żyję – śmieje się pani Wiesia.

W 1985 roku miałam operację. Prozaiczną, ale coś widocznie pan doktor spaprał, bo na chwilę odeszłam z tego świata. Potem profesor powiedział, że żyję tylko dlatego, że chciałam żyć. Było tak.

Poszłam na operację usunięcia kamienia żółciowego. Przedtem, w różnych odstępach czasu miałam operacje woreczka żółciowego, żołądka i dwunastnicy. Zrobiono mi operację i po dziesięciu dniach opuściłam szpital.

Wszystko było dobrze i nagle, po paru latach, ten cholerny kamień. Poszłam do lekarza i pokazałam dokładnie, gdzie mam kamień, bo był taki wielki a ja tak szczupła, że łatwo go było flamastrem zaznaczyć. „To nie kamień – powiedział lekarz. – Rozmawiałem z ordynatorem. To pewnie jest guz”.

„Guz czy kamień, coś z tym trzeba zrobić” – powiedziałam. – Operowano mnie. Jedna operacja była w środę, druga w sobotę. Trzeciej już nie było, bo przyszło to, co nieuchronne. Śmierć. Śmierć kliniczna.



Ja chciałam żyć. Byłam uparta. Gdy się wybudziłam i spojrzałam na świat, zobaczyłam wszystko w innych kolorach. Przekonałam się, że można żyć na luzie. Kiedyś o wszystko i wszystkich się martwiłam. Teraz już nie. Łatwiej tak żyć. Jest mi wesoło. Jest mi fajnie.

Nikomnie nie życzę, aby to przeżywał, ale zapewniam, że potem człowiek inaczej patrzy na świat. Ja dziś w ogóle nie myślę o śmierci. Nie boję się. Chcę żyć, bo uważam, że mam jeszcze coś do zrobienia.

Chcecie wiedzieć, jak ta śmierć wyglądała? Ja to zapamiętałam tak, jak sen.

Byłam w rogu jakiegoś pokoju. Naokoło na ścianach ozdobne stiuki. Nie wiem, co to za pokój. Nigdy w nim przedtem nie byłam. Przy stoliku siedziało dwóch panów. Jeden w szaro niebieskiej kurtce, drugi miał kurtkę bordową. To byli pracownicy karetki pogotowia. Rozmawiali o tym, jak narkomani wyludniają od lekarzy pogotowia lekarstwa. Usłyszałam, że każdy z nich ma od swojego lekarza zaświadczenie na jakie leki jest uczulony i jakie trzeba mu podawać.

Gdy przychodzi narkotyczny głód, udają zasłabnięcie. Padają na przystanku czy na ulicy. Ludzie wzywają pogotowie i lekarz, czytając zaświadczenie, podaje im specyfiki, które ich narkotyczny głód zaspokajają.

Słuchałam tej rozmowy i byłam wściekła, bo mnie to w ogóle nie interesowało. W dali widziałam jakby tunel z jasnym światłem na końcu, do którego nie chciałam iść...

Lekarze, którzy wtedy przy mnie byli, opowiadali, że całe moje ciało dziwnie drgało. Jak długo to trwało, nie wiem. Gdy się obudziłam, zobaczyłam, że jestem podłączona do maszyny podtrzymującej życie. Dowiedziałam się też, że przeszłam śmierć kliniczną.

Nie, nie miałam poczucia, że byłam po drugiej czy tamtej stronie. Gdzieś byłam, a obudziłam się w szpitalnym pokoju, wśród popiskującej aparatury.

Cieszyłam się, że żyję, i byłam bardzo uspokojona. Wyciszona. Za szpitalnym oknem widziałam świat w bardzo ostrych kolorach, które wydały mi się bardziej czyste, ładniejsze. Pewnie dlatego walczyłam, by żyć. A kiedy odwiedziły mnie dzieci, wiedziałam, że żyć muszę.

Po jakimś czasie, nie wiem, czy to miało jakiś związek z moją śmiercią kliniczną, przyplątała się do mnie przypadłość, której ani nazwać, ani wyleczyć nikt nie potrafił. Nawet zaproponowałam, by potraktowano



mnie jak królika doświadczalnego i żeby ktoś na moim przypadku napisał pracę doktorską.

Co jakiś czas traciłam nagle przytomność. Dokładnie co cztery i pół roku, piętnaście minut po dwunastej. Pierwszy raz zdarzyło się to w 1985 roku. Byłam na święta u mojej mamy w Łodzi i poszłam do kuchni. Ocknęłam się, leżąc pod stojącą na nóżkach węglową kuchenką, z twardą rozciągniętą pośluchoną salaterką.

Cztery i pół roku po tym fackie miałam utratę przytomności, która skończyła się pęknięciem czaszki. Kolejna, wyłamaniem obojczyka. Następna pęknięciem żeber. Raz wybudziłam się między wanną a sedesem. Wybudzam się jakby nigdy nic, zdziwiona, co ja robię w tym miejscu i z bólem, z którym szłam do lekarza nie bardzo świadoma, co mi się przytrafiło. Jeden z lekarzy poradził mi, abym miała przy sobie kogoś, gdy czuję, że zbliża się ten feralny czas. Ale jak to przewidzieć? Wpadłam na pomysł, że jak będę czuła, że coś nadchodzi, to będę chodziła na czworaka, żeby się w razie upadku nie uszkodzić (*śmiech*).

Ostatnim razem udało mi się. Tuż przed utratą świadomości złapałam kłamkę i tak mocno zacisnęłam dłoń, że gdy padałam popękały mi jakieś kosteczki, ale kłamkę nie puściłam. Na razie, odpukać, mam spokój. Skończyło się to w 2011 roku równie nagle, jak przyszło. Co to było? Nikt nie wie.



### Czasem tkam

– W Magdalence zamieszkałam dwadzieścia pięć lat temu i od razu mogłam coś dla naszej gminy zrobić. Zwróciła się do mnie pierwsza dyrektorka Gminnego Ośrodka Kultury Aleksandra Liwińska z propozycją, bym dla Zespołu Śpiewaczego Tęcza uszyła kostiumy. Były to stroje wilanowskie. W tych strojach zespół występuje do dziś. Szłam też kostiumy krakowskie dla dziecięcego zespołu taneczno-wokalnego Ładne Kwiatki.

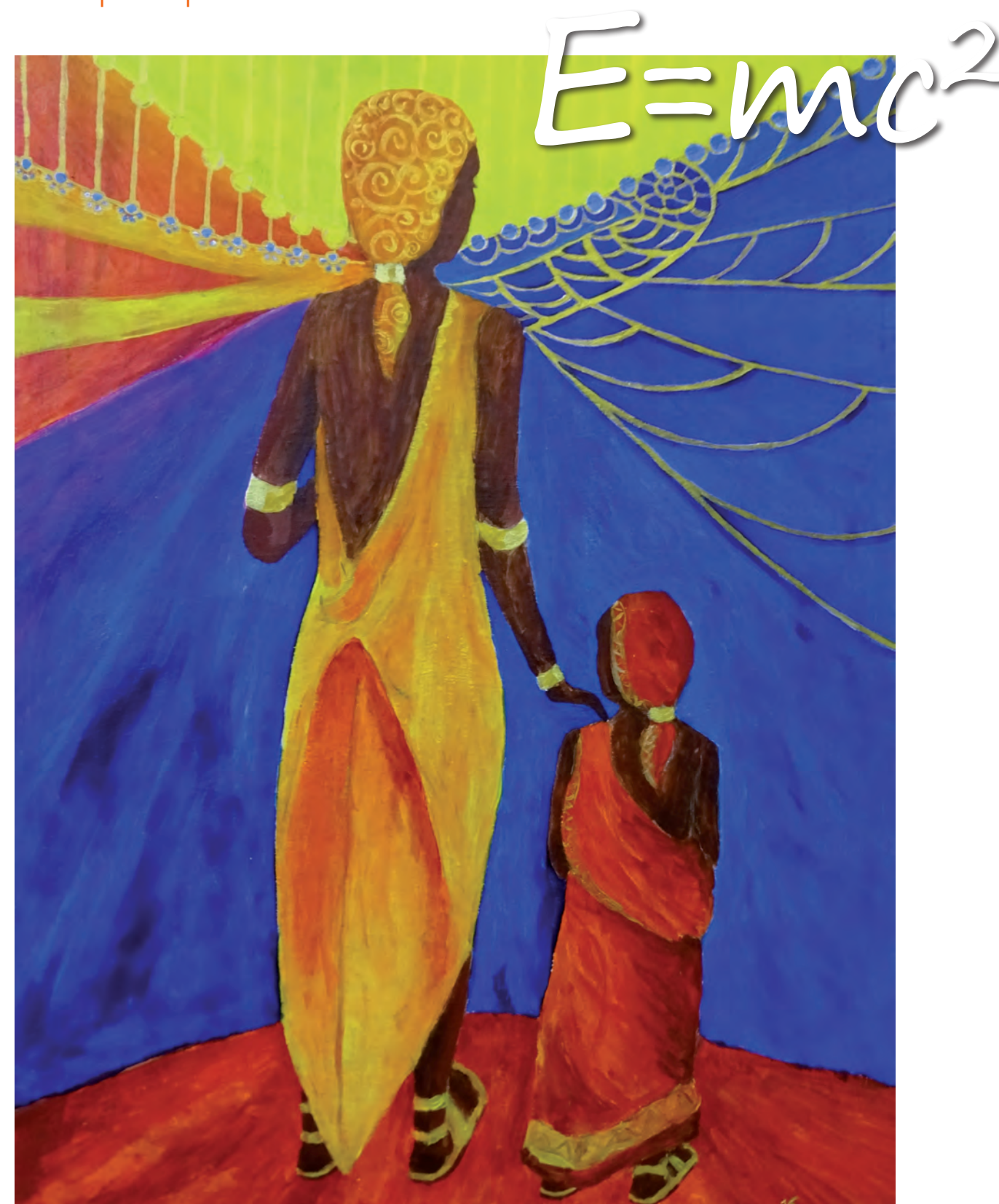
Widzę, że patrzycie na wiszące na ścianie gobeliny. Tak, to moje. Czasem coś takiego robię. Ta pani to przyjaciółka włoskiego malarza Amedeo Modiglianiego. Kiedy powiesiłam ją na ścianie, doszłam do wniosku, że smutno jej tak samej. Dotkałam więc jej towarzysza. Przez jakiś czas robiłam gobeliny, ale to bardzo czasochłonna przyjemność, a ja im jestem starsza, tym mam mniej czasu.

W poniedziałki mam gimnastykę, we wtorki zajęcia na Uniwersytecie Trzeciego Wieku, w środy lekcje rysunku i wykłady na UTW, w czwartek trzeba coś zrobić w ogródku, skosić trawę, zbierać liście, zrobić poprawki krawieckie, bo ciągle jeszcze zajmuję się krawiectwem. Dziś imieniny Jadwigi i Teresy, więc wstałam rano i zrobiłam kilka stroików dla solenizantek, moich przyjaciółek.

No i czy ja mam coś ciekawego do powiedzenia? Nic. Zwyczajne życie starszej pani. ■



W filii Gminnego Ośrodka Kultury w Mysiadle mama i córka zaprezentowały swoje prace malarskie. Wystawa miała intrygujący tytuł, znany powszechnie jako wzór Einsteina na teorię względności. Postanowiliśmy dowiedzieć się, skąd ten pomysł, i obie panie przedstawić.





Autorki to Izabela Szymczak i jej córka, czwartoklasistka Antosia. Pomyśl na tytuł wystawy objaśniła pani Izabela. Zaczęła naukowo. – Widomo, co jest czym we wzorze Alberta Einsteina.  $E$  – jest równoważną energią,  $m$  – masą przedmiotu,  $c$  – prędkością światła. Słowem, energia jest iloczynem masy przez kwadrat prędkości światła. W tytule naszej wystawy  $m$  – to mama, czyli ja, a  $c$  – to córka, która ma tyle energii, że ze spokojem można powiedzieć, że ma energię do kwadratu. To jej energia, jej światło napędza moją masę do działania, którego efektem jest między innymi ta wystawa.

### Nierozłączne

Tak można powiedzieć, bo mają wspólne pasje i wszędzie są razem. Razem chodzą po górach, razem chodzą na koncerty, na różnego rodzaju zajęcia, razem przeżywają radości i smutki.

Największą pasją obu pań są podróże. – Podróżowaniem zaraził mnie rodzice – mówi pani Izabela. – Oni to bardzo lubili. Były lata 70. Wtedy się jeździło po Polsce, nad nasz Bałtyk i w nasze Tatry. Podróżowałam z nimi od dziecka i mam to we krwi. Teraz podróżuję z Tosią.

W piątek planujemy wyjazd do Zakopanego (rozmawiamy na początku października – przyp. red.). Cały czas patrzę na pogodę, bo w wyższych partiach Tatr leży już śnieg. Planuję trasę do Doliny Pięciu Stawów, bo tam w schronisku jest zdaniem Tosi najlepsza lemoniada.

Na pewno zahaczmy o schronisko w Starej Roztoce, w którym najbardziej lubimy przebywać. Jak jedziemy latem na dziesięć dni, to połowę noclegów mamy właśnie tam.

Planujemy jeszcze wypad na Halę Gąsienicową i pójdziemy do Murowańca, gdzie w schronisku wisi Tosi zdjęcie. Znalazło się tam z powodu ogłoszonego dwa lata temu konkursu na zdjęcia Hali Gąsienicowej. Tak się dla nas szczęśliwie złożyło, że konkurs był ogłoszony pod koniec sierpnia czy na początku września, a my z Tosią byliśmy nad Czarnym Stawem Gąsienicowym na początku sierpnia.

Zrobiłam zdjęcie, jak Tosia leży nad Czarnym Stawem Gąsienicowym i patrzy sobie na Kozi Wierch, na całą Orłą Perć. Na konkurs napłynęło wiele zdjęć. W schronisku jury wybrało najlepsze i zamieściło na FB, zachęcając internautów do głosowania.

Zajęliśmy drugie miejsce. I to zdjęcie od dwóch lat wisi na ścianie w Murowańcu. Od tamtej pory każdego roku robię Tosi zdjęcie w tym samym miejscu, żeby było widać, jak się zmienia.

Syn Jasek ma już dwadzieścia lat i jest za dorosły, żeby się z nami zabawiać w te różne rzeczy, a mąż nie bardzo lubi, więc chodzimy obie. W zeszłym roku Tosia weszła na najwyższy dla niej punkt na Szpiglasowej Przełęczy, 2110 m n.p.m. W tym roku ten rekord pobiła o 181 metrów. Była na Kozim Wierchu na wysokości 2291 m n.p.m.

### Pisarki

Obie panie mają zacięcie literackie. Obie piszą opowiadania i bajki. – Gdy mam napisać fragment bajki, to czasami czytam córce i mówię: „Podpowiedz, co dalej?” i Tosia rozwija swoją dziecięcą wyobraźnię.

Nim jednak pani Izabela spróbowała swoich sił jako literatka, bardzo lubiła czytać książki sensacyjne i historyczne. Potem usiadła i sama zaczęła pisać. Było to jeszcze w rodzinnym mieście, w Ostrowie Wielkopolskim, bo pani Izabela jest wielkopolanką.

– Skończyłam studia pedagogiczno-plastyczne na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu – mówi pani Izabela. – Przedtem było liceum ekonomiczne w Ostrowie Wielkopolskim, ale powiem szczerze, nie bardzo mi profil tego liceum odpowiadał, choć uczyłam się dobrze. W ogóle nie wyobrażałam sobie siebie w pracy jako księgowej za biurkiem.

Po studiach plastycznych w zasadzie powinnam być nauczycielką, ale przez wiele lat się od tego wykręcałam. Na piątym roku studiów zostałam grafiką komputerową i do teraz wykonuję ten zawód, ale od zawodu nauczycielskiego całkiem nie udało mi się uciec. Wróciłam do niego teraz.



Prowadzę w przedszkolach zajęcia plastyczne dla dzieci.

Jako grafik pracowałam w agencjach reklamowych bądź wydawnictwach, a od 2014 mam własną działalność gospodarczą i zajmuję się właściwie wszystkim – grafiką, czasopismami, ulotkami. Od szesnastu albo siedemnastu lat mieszkamy w Nowej Iwicznej. I tu staramy się robić to, co lubimy.

Zawsze pisałam. Pisanie za mną chodziło. W szkole miałam z polskiego najlepszą ocenę w klasie, ale choć, jak powiedziałam, to pisanie za mną chodziło, pisałam do szuflady. W pewnym momencie, kiedy skończyłam pracę w agencjach reklamowych, miałam więcej czasu i wysłałam swoje opowiadanie na Międzynarodowy Festiwal Kryminału do Wrocławia. Organizatorem festiwalu jest Miasto Wrocław i Krakowska Oficyna Literacka założona przez Ewę Mańkowską-Grin.

Udało się. Raz zdobyłam pierwsze miejsce, raz wyróżnienie i teraz znów wyróżnienie. Za tydzień jedziemy z Tosią po odbiór dyplomu.

Dla autorów najlepszych prac organizatorzy na przykład w Tuchowie robią trwające trzy – cztery dni warsztaty, w czasie których odbywają się zajęcia z pisarzami. Wtedy uczymy się pisać i poprawiamy własne błędy.

Moje pierwsze opowiadanie było całkiem wymyślone, natomiast zawsze sięgam do wątków historycznych. Wtedy sięgnęłam

### ...największą pasją obu pań są podróże

albo do templariuszy, albo do krzyżaków. Rok później też przeszłam z opowiadaniem kryminalnym, którego akcja dzieje w XV wieku, a końcówka jest osadzona w terażniejszości. To znaczy na początku opowiadania, w XV wieku, coś zostaje ukryte, a potem, już współcześnie, archeologowie to odkrywają.

Powiem szczerze, że najwięcej czasu poświęcam na poszukiwania materiałów, które dotyczą dawnych czasów czy dawnego miasta, w którym będzie toczyła się akcja. Moje kryminalne opowiadania są o Wrocławiu. Najpierw więc musiałam sobie sprawdzić Wrocław z tamtej epoki, jak wyglądał, jakie były święta, jak ludzie mieszkali, co robili. Następnie zaczęłam pisać.

Tak powstało moje opowiadanie „Błąd w sztuce”, za które otrzymałam pierwszą nagrodę w konkursie „Kryminalna Piła”. Opowiadanie było o taksówkarzu z Piły, który w Nowy Rok przyjechał po pracy do domu i czekał na syna. Syn nie wrócił z sylwestra. Policja znalazła gdzieś ciało, ale to nie było ciało syna, na którego czekał taksówkarz. Było to ciało jego brata bliźniaka, uznanego za zmarłego w czasie porodu...

Nie będziemy opowiadać, jak to się wszystko skończyło, ale zapewniamy, że skończyło się dobrze. Izabela Szymczak zdobyła pierwszą nagrodę, a opowiadanie ukazało się w książce pt. „Błąd w sztuce”, będącej zbiorem nagrodzonych w konkursie „Kryminalnej Piły” opowiadań.

– Wcześniej nigdy nie pisałam kryminałów, ale jak zobaczyłam, że mi tak dobrze poszło, to pomyślałam, że warto w tym kierunku iść.

Wzięłam udział w konkursie „Nowe marzy”. Temat był tak sformułowany, że nie bardzo wiadomo było, o co chodzi, a jednak na konkurs nadesłało 450 prac. Napisałam trochę surrealistyczne opowiadanie pt. „Ernest”, które razem z dwudziestoma innymi nagrodzonymi w konkursie, znalazło się w wydaniu książkowym. Było to opowiadanie o zachowaniu dobrych i złych ludzi, którzy przeżywali

katastrofę, kiedy to różne miasta, w tym Warszawa i Wrocław znalazły się pod wodą.

### Wykup słowo

– Na pomysł projektu, do którego drugiej edycji pod hasłem „Nikommu się nie śniło” zostałam zaproszona, wpadła podczas kąpieli finalistka wielu konkursów literackich Katja Tomczyk.

Zebraliśmy się w kilkuosobowej grupie i wymyśliśmy temat książki. Stało na śnie. Sen to tak pojemne słowo, że w zasadzie każdy może coś na ten temat napisać. Gdy uzgodniliśmy temat, to stwierdziliśmy, że może warto nawiązać współpracę z jakąś fundacją, która zajmuje się wybudzaniem ze snu. I tak się stało. W Toruniu jest taka fundacja Światło. Skoro była fundacja, to stwierdziliśmy, że dobrze, gdy będzie konkretny człowiek, któremu możemy pomóc. Tym człowiekiem okazał się strażak, który w czasie akcji ratunkowej miał wypadek i zapadł w śpiączkę. Teraz jest już wybudzony, ale potrzebuje pieniędzy na rehabilitację. Co to ma wspólnego z książką?

Jest taka strona internetowa *wspieram.to*, na której zbiera się pieniądze na jakiś cel. Kiedy ktoś chciał wpłacić pieniądze na pomoc strażakowi, to wykupywał słowo, całą frazę albo imię, które autorzy opowiadań powinni umieścić w tekście opowiadania. Na końcu książki jest indeks wszystkich słów i fraz, które zostały wykupione. W książce „Nikommu się nie śniło” jest dziewiętnaście opowiadań, wśród nich moje pt. „Tuchów”. Pieniądze zebrane za słowa i sprzedaż książki poszły na rehabilitację strażaka. Książkę też dostawał każdy, kto wykupił słowo.

Gdy piszę, czasami nie mogę zasnąć. Kładę głowę na poduszkę i jakieś świetne zdanie albo cały fragment opowiadania przychodzi mi do głowy. Muszę zapalić światło. Zapisać je, żeby nie zapomnieć.

Z chęcią bym napisała całość od razu, ale nie ma na to czasu. Bo jest cały dom na głowie. Gdy jest dłuższa rzecz do napisania, to robię sobie taką tabelkę: jacy bohaterowie, jak się akcja będzie toczyć. Ale zazwyczaj całość mam w głowie, chyba że nagle jakieś dialogi mi przychodzą do głowy, żeby je potem wykorzystać. Fragmenty zapisuję, potem je łączę. Tak się najszybciej pisze.

### Garazowe skarby

– Siedziałyśmy na ławce w ogródku z Anią i Izą z naszego osiedla. Każda mówiła, że ma w domu coś, czego dobrze by było się pozbyć, ale jak to zrobić? Myślałyśmy, że może dobrze byłoby to sprzedać, tylko... gdzie. Znowu więc myślałyśmy. Padło na teren zielony, który jest po drugiej stronie naszego osiedla. To nasz teren, osiedlowy. Możemy tam organizować różne imprezy, więc pomyślałyśmy, żeby może tam coś zrobić.

Ponieważ znałam najlepiej naszego radnego Krzysztofa Klimaszewskiego, dziewczyny mnie do niego wysłały, żeby o tym porozmawiać. Pan Krzysztof wysłuchał i zgodził się pomóc. Powiedział, że do placu podciągnie prąd. Ania Rodak-Wilczyńska zorganizowała głośniki, ja plakaty.

Roznieśliśmy plakaty po sklepach, daliśmy do biblioteki, domu kultury, szkoły i ludzie zaczęli się naszym pomysłem interesować. Pomysł był prosty: przyjdź, rozłóż koc, postaw stół czy jakąś ławę i sprzedawaj to, co masz zbędnego w swoim garażu. Stąd „sprzedaż garażowa”.

...gdy piszę, czasami  
nie mogę zasnąć



Dzięki plakatom dużo ludzi się o tym dowiedziało. Nawet z Piaseczna przyjeżdżali ze swoimi straganami. Sprzedawaliśmy wszystko. Najwięcej było zabawek. Były też rowerki dla dzieci i ubranka. Były również rzeczy interesujące dorosłych. Ja na przykład sprzedawałam maszynę do chleba. Tosia sprzedawała samochodziki po bracie.

### Malowanie

– Pierwsza moja wystawa plastyczna „to był skandal” – jak mówiła moja nauczycielka. Zaczęło się od tego, że u nas w Ostrowie Wielopolskim zorganizowano wystawę rysunków dotyczącą miasta. Byłam wtedy w II klasie liceum ekonomicznego i z rodzicami poszłam obejrzeć wystawę. Patrzę – jedna praca jest moja, a podpisana zupełnie innym nazwiskiem. To był mały obrazek formatu A4 namalowany farbami plakatowymi.

Podeszłam do organizatorów i mówię, że ten obrazek jest mój, ale podpisany nazwiskiem koleżanki, która była dwa lata młodsza, ale też chodziła do mojej szkoły. Myślę, że prace mieli w archiwum, nie wiedzieli, kto je namalował, i po prostu podpisali nazwiskiem osoby, która jeszcze do szkoły chodziła.



Pani organizatorka, która potem została moją nauczycielką od plastyki, powiedziała: „No, to jest skandal”. Zmieniono kartkę z nazwiskiem. Spytałam, czy mogę jeszcze przynieść inne prace. Miałam ich naprawdę dużo. Przyniosłam i wszystkie powiesili. Mieszkańcy miasta wybierali najlepsze prace i zajęłam wtedy pierwsze miejsce. To był ten moment, kiedy znowu zaczęłam malować. Potem były wystawy plenerowe studentów i gdy organizowano wystawy w Ostrowie, brałam w nich udział.

Kiedy przeprowadziliśmy się do Nowej Iwicznej, zapomniałam o malowaniu, bo już nie było ani czasu, ani miejsca. Dopiero gdy urodziła się Tosia i trochę podrosła, zobaczyłam, że ona ma zdolności plastyczne. Znowu zaczęłam malować. To było sześć lat temu. Tosia ma dziewięć lat.

– Najbardziej lubię rysować kredkami, ołówkiem i cienkopisem – wtrąca Tosia, której energia napędza mamę do działania. Jak rysuje, pokazujemy na fotografiach.

Po tym spotkaniu bardziej zrozumieliśmy tytuł wystawy zaczerpnięty z wzoru Einsteina. ■





# Pasja rodzinna

...zaczynaliśmy od turnieju  
o Puchar Wójta Gminy Lesznowola

Wprawdzie drużyna nazywa się Scorpion Władysławów, ale mieszkańcy Władysławowa wiedzą o niej niewiele. Mieszkańcy gminy prawie nic. Szkoda, bo drużyna odnosi sukcesy, a jej zawodnikom chce się chcieć.

Są tacy, którzy mówią, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach. W piosence Rodzina, ach rodzina z Kabaretu Starszych Panów, autor tekstu, Jeremi Przybora, przekonywał:

*Rodzina, rodzina, rodzina, ach rodzina.  
Rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest,  
Lecz kiedy jej ni ma  
Samotnyś jak pies.*

Rodzina, która stworzyła drużynę piłkarską Scorpion Władysławów, dobrze wychodziła na zdjęciach, stworzyła zespół, z którego się cieszyła i którym powinniśmy się chwalić. Do takiego wniosku doszliśmy po rozmowie z Arkadiuszem Żołnierskim, obecnym kapitanem drużyny. Zaczniemy więc od początku.

## Sportowa rodzina

– Rodzinę mamy sportową – mówi Arkadiusz Żołnierski. – Ciocia, Agnieszka Szondermajer, zaczęła grać w nogę z chłopakami, gdy miała dziesięć lat. Tak się rozegrała, że trafiła do reprezentacji Polski w piłce nożnej kobiet. Była kapitanem. Urodziła się na ulicy Wojska Polskiego we Władysławowie w domu naprzeciwko. Miała wielkie sportowe sukcesy. Zadebiutowała w reprezentacji Polski wiosną 1991 roku i rozegrała w kadrze dziewięćdziesiąt spotkań. Strzeliła jako reprezentantka trzydzieści trzy gole.

Jej ojciec, a nasz wujek, Dariusz Szondermajer, był z naszym ojcem współzałożycielem klubu Scorpion Władysławów. Od nazwy jego warsztatu wzięła się zresztą nazwa klubu. Wujek miał i ma nadal zakład blacharsko-lakierniczy o nazwie Scorpion w Baszkówce. To on przez pierwsze lata był sponsorem wszystkich naszych rozgrywek. Wtedy w drużynie grał jeszcze nasz ojciec, Krzysztof Żołnierski.

Ojciec był i jest wielkim fanem Legii Warszawa. Od trzydziestu lat nie opuścił żadnego meczu. Sam grał kiedyś w piłkę nożną w Elektroniku Piaseczno, później w juniorach Legii. Jakies szesnaście lat temu doszli z wujkiem Darkiem, czyli szwagrem ojca, do wniosku, że trzeba zacząć się ruszać. Trzeba rozruszać zasiedziałą



młodzież. W Piasecznie zaczynały się akurat rozgrywki pod patronatem i o puchar burmistrza miasta i gminy, więc zebrali się, wynajęli halę, żeby raz czy dwa razy w tygodniu potrenować, i trenowali.

Złożyli się, wujek dorzucił parę złotych, kupili stroje i wystartowali w zawodach. Ojciec był trenerem i zawodnikiem. Nie uwierzycie, ale jakimś cudem udało im się ten turniej wygrać. Debiutant, Scorpion Władysławów, ograł wszystkich. Była to wtedy drużyna rodzinna. Grał ojciec i trzech wujków.

Po pierwszym turnieju rozegranym w Głoskowie zaczęli się do Scorpiona garnąć chłopaki z okolicy. Przychodzili z Władysławowa, Wilczej Góry, Łaz i Woli Głuchowskiej. Przychodzili kilkulatekowie, kilkunastolatekowie i chłopcy po trzydziestce.

## Drugie pokolenie

– W przyszłym roku Scorpion Władysławów będzie miał już piętnaście lat, bo gramy dalej, tyle tylko, że już w innym składzie.

Myślę, że przez te lata rozegraliśmy ponad setkę turniejów. Połowa zakończyła się naszym sukcesem. Z radością stawaliśmy na podium.

W latach gdy z Jackiem, moim bratem bliźniakiem, dorastaliśmy, graliśmy w siatkówkę. To było w podstawówce w Lesznowoli. Zdobyliśmy z drużyną pięć razy mistrzostwo Mazowsza, ale obserwując inne drużyny, doszliśmy do wniosku, że choć byliśmy wysokimi chłopakami, to nie aż tak, żeby poważnie poświęcić się tej dyscyplinie sportu. Zostało to, co było w zasięgu naszych warunków i możliwości. Piłka nożna.

Kiedy mieliśmy po piętnaście, szesnaście lat drużyna Scorpion Władysławów została rozwiązana. Po dwóch latach pomyślałem: „Czemu jej nie reaktywować?”. Zebraliśmy ekipę i ruszyliśmy na turnieje. Okazało się, że jest potencjał.

Preferujemy grę szóstką, czyli pięciu zawodników plus bramkarz lub inny wariant – czterech plus bramkarz. Część drużyny, którą aktywowałem, grała jeszcze za czasów ojca. Mieli po około czterdziestu lat. Reszta była młodsza. Byli tacy, co chcieli wrócić do drużyny i grać, ale czas był nieubłagany. Pojawiły się dzieci, rodzina, praca, która nie pozwalała na powrót do gry.

Zaczynaliśmy od turnieju o Puchar Wójta Gminy Lesznowola. To był chyba 2007 albo 2008 rok. Na dziesięć czy jedenaście edycji wygraliśmy dziewięć. Raz zajęliśmy drugie miejsce. To były tylko rozgrywki dla mieszkańców gminy, ale regulamin dopuszczał występ w drużynie dwóch zawodników spoza gminy. Skorzystaliśmy z tego punktu i ku zaskoczeniu rywali na boisko w barwach naszego Scorpiona wyszła Anna Żelazko, napastniczka kadry polskiej, uczestniczka eliminacji do mistrzostw świata w 2003 i w 2007 roku. W drużynie przeciwnej chłopy po metr dziewięćdziesiąt, a tu wychodzi dziewczyna metr sześćdziesiąt i wali z główki w samo okienko bramki. Niezapomniana historia.

Z chłopakami znamy się po piętnaście lat. Jestem kapitanem, bo wszystko organizuję. Ale nasza drużyna to raczej takie forum dyskusyjne. Rozmawiamy, jak mamy zagrać pod danego przeciwnika. Ja jestem tym, który załatwia transport, ligę, opłaty. To nie są małe koszty. W skali roku maksymalnie wydajemy około trzydziestu tysięcy. To jak na drużynę amatorską całkiem sporo. Nigdy się nie zwraca.

Wszystko zależy od tego, na jakim poziomie chce się grać i gdzie się chce grać. Im rozgrywki są bardziej zaawansowane poziomowo i organizacyjnie, tym są droższe. Traktujemy to głównie w kategoriach przyjemności. Czasami mamy dylemat: mieć czy być. Możemy grać w rozgrywkach w Piasecznie, które prawdopodobnie wygramy i zostaniemy zwycięzcami i mistrzem powiatu. Możemy zagrać w Warszawie w najlepszej lidze w Polsce i tam bić się o utrzymanie. I teraz pytanie: czy wygrać z lepszymi, czy tutaj. Ale nas tak naprawdę nikt tutaj nie zna, bo my gramy z najlepszymi w Polsce. Gramy w Lidze Fanów.

### Liga Fanów

– Ligę Fanów wyhaczyłem w 2011 roku – wspomina Arkadiusz Żołnierski. – Pojechaliśmy na turniej, zostaliśmy zaproszeni do rozgrywek. Tak to się zaczęło.

Liga Fanów jest organizatorem rozgrywek i ma pod sobą ligę. To zrzeszenie kilkunastu drużyn, które grają ze sobą spotkania, podczas których wyłaniany jest mistrz i wicemistrz. Liga jest podzielona na różne poziomy. Można w niej awansować, można spaść, bo są to w pełni profesjonalne rozgrywki piłkarskie stworzone dla pasjonatów gry w piłkę nożną. Takich, jacy są w klubie Scorpion Władysławów. Bo trzeba być naprawdę pasjonatem, żeby płacić za to, by grać. Żeby w większości za własne pieniądze wpłacane jako składki kupować stroje,



wynajmować hale do treningu, opłacać starty w turniejach i grać. Dla przyjemności i dla chwały.

– Mnie fascynuje halowa odmiana piłki nożnej. Jest dużo bardziej dynamiczna, szybsza. Był nawet parę lat temu pomysł, żeby wystartować w trzeciej lidze polskiej, ale rozbiło się o fundusze. Mogło ich nie starczyć, a przyświeca nam taka zasada, że jeżeli w coś się angażujemy, to na sto procent i musimy to dokończyć.

Na początku, gdy ruszaliśmy na Warszawę, podśmiewano się z nas. Mówili, że przyjeżdżamy znad morza, bo Władysławów mylili z nadmorską miejscowością Władysławów.

W zeszłym roku, kiedy graliśmy w ćwierćfinale na turnieju, chłopaki z drużyny przeciwnej stwierdzili: „Po co mamy wychodzić na boisko, skoro gramy ze Scorpionem?”. Wiedzieli, że odpadną i pojadą do domu.

Nie ukrywam, że mamy w drużynie takiego zawodnika jak Piotr Krawczyk, który jest w stanie sam wygrać mecz. Niestety miał wypadek w ostatnim tygodniu i połamał sobie na meczu obie ręce. Piłka halowa jest bardziej niebezpieczna z uwagi na dynamikę niż piłka na murawie. Podłoże jest igielitowe. Wprawdzie na igielicie są gumki hamujące, ale jeśli w czasie turnieju zagra na igielicie dziesięć drużyn w ciągu dnia, to gumki się wycierają, robią się dołki. Akurat on miał niefart, bo wypadł za bramkę na kostkę brukową, pośliznął się i padając, chciał zasłonić twarz rękoma. Obie połamał.

Do największych sukcesów drużyny należy zaliczyć dwa razy czwarte miejsce na największym turnieju w Polsce, na który przyjeżdża sześćdziesiąt najlepszych drużyn z całego kraju: z Gdańska, Szczecina, Lublina... Po tym sukcesie staliśmy się rozpoznawalni.

Dlatego przed sezonem odbieram telefony z różnych lig, żeby się do nich przenieść.

W przyszłym roku wypada nam 15-lecie. W Lidze Fanów jest siedem lig, łącznie 70 drużyn. My jesteśmy w szóstce najlepszych. Gramy w ekstraklasie. Nawet pochwałę się, że w pierwszej kolejce udało nam się ograć zeszłorocznego mistrza Tur Ochota. Akurat obchodził 50-lecie, więc było nastawienie, że to oni wygrają te rozgrywki. Ale to nam się udało.

### Sukcesy bez trenera

– Spotykamy się dwa razy w tygodniu w poniedziałki i w piątki na boisku przy basenie na Orliku w Piasecznie. Gdy przychodzi zima, gramy w hali Gminnego Centrum Sportu w Mysiadle.

Nie mamy trenera, bo nas na niego nie stać. Generalnie tylko około trzydziestu procent drużyn ma trenera. Niektóre przyjeżdżają z nim i ze sponsorem.

Jesteśmy chyba nietypową drużyną wśród tych dziesięciu najlepszych drużyn w kraju, grając właściwie ze składek, bez większej organizacji typu trener czy fundusze stałe. Nie ukrywam, że drużyny, z którymi się mierzymy, mają zazwyczaj trenera, wszystko poukładane i treningi trzy razy w tygodniu. Wprawdzie są to również amatorskie drużyny, ale mają one sponsorów, którzy wykładają pieniądze. U nas składki płacą wszyscy zawodnicy. Wprowadziliśmy system, w którym każdy płaci po równo, nieważne ile gra, bo znamy się tyle lat. Jesteśmy też z bratem przygotowani na to, że ktoś czegoś nie zapłaci. Ale jak się ma takie hobby, to się na to nie patrzy. Myślę, że do naszego grania dokładamy rocznie około dziesięć tysięcy złotych.



fot. z archiwum Scorpion Władysławów



### *...mieszkańcy Władysławowa wiedzą o niej niewiele*

Dwa lata temu dostaliśmy dziesięć tysięcy z sołectwa. Wystarczyło nam na zakup sprzętu i opłatę rozgrywek w Lidze Fanów. Na razie ten sprzęt jest, ale wiadomo, ktoś przestaje grać i trudno upominać się, by oddał dresy czy stroje. Trzeba uzyskać środki na zakup nowych, bo sprzęt wystarcza na dwa sezony.

Jak powiedziałem, drużyna Scorpion Władysławów nie ma trenera. O strategii jak mamy grać, decydują ją z bratem i dwoma starszymi zawodnikami. Brat jest bramkarzem wyróżnianym w czołówce bramkarzy. Ja gram w defensywie. Czasami nie gram. Stoję, przyglądam się, dyryguję zmianami.

Często podczas tego ustalania strategii gry są oczywiście scysje, bo ten by chciał tak, a ten inaczej. Ale mamy w zespole mieszkającego trzy kilometry stąd Tomka Wiśniakowskiego, który grał kiedyś w ekstraklasie, i jego głos jest w tej sprawie bardzo ważny. W tym roku kończy 45 lat. Chciałby zrezygnować, ale na szczęście pasja mu nie pozwala.

Od kilku lat staramy się grać stałą ekipą. Wiadomo, ktoś odejdzie, ktoś dojdzie, ale trzon drużyny to ośmiu – dziesięciu zawodników, którzy grają ze sobą od ośmiu lat.

Są to bracia Fabisiakowie: Łukasz, Czarek i Mateusz, bracia Raczyńscy: Piotrek, Mateusz i Kamil, potem Tomek Wiśniakowski, Sławek Podskarbi, Piotrek Kraw-

czyk, bracia Damian i Sebastian Adamczykowie, mój brat i ja. Myślę, że to taki trzon. Z naszej gminy jest dziewięciu zawodników.

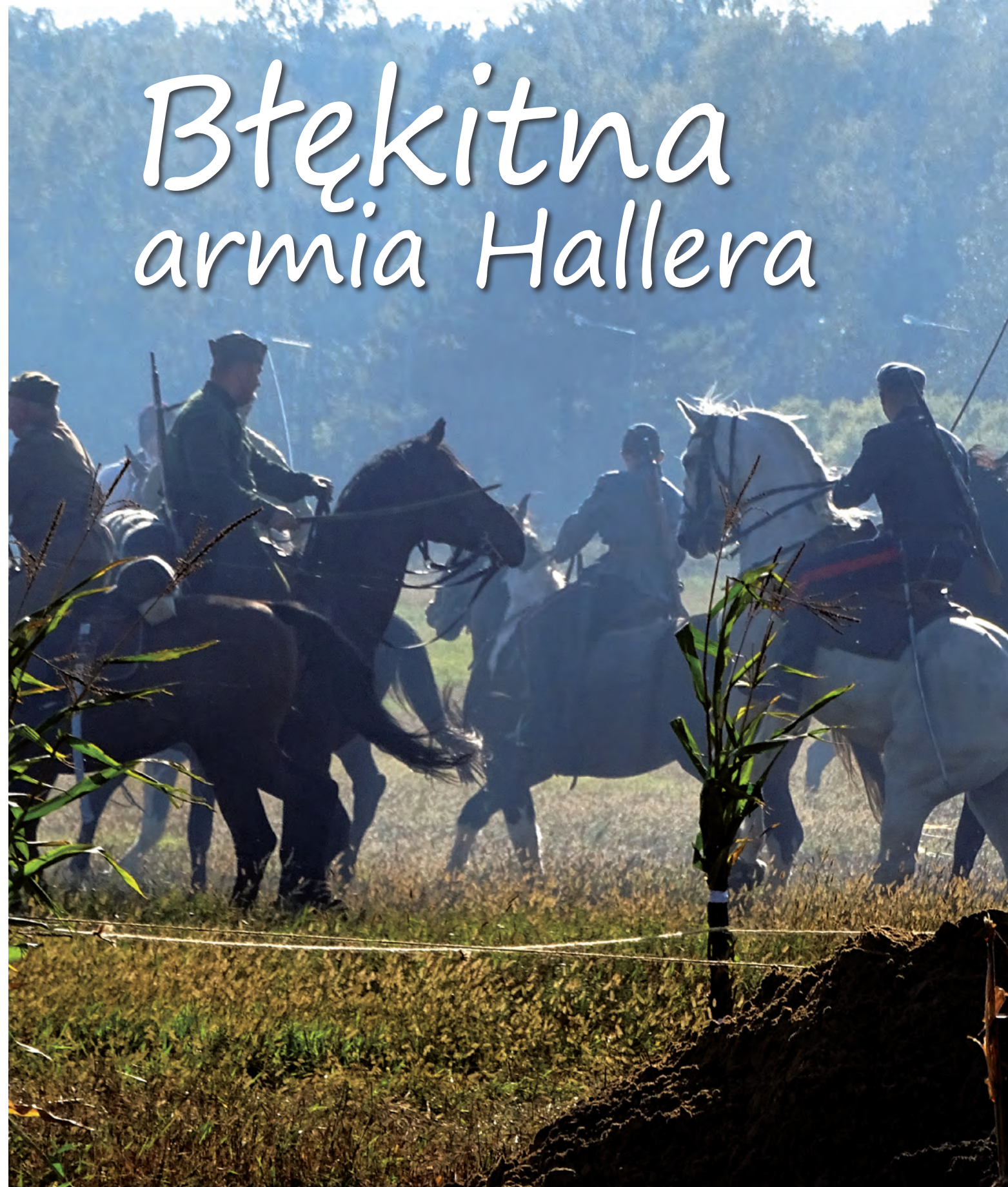
Od pierwszego turnieju przed czternastoma lat grają z nami Piotrek Raczyński i Sławek Podskarbi, ja z bratem i Mateusz Raczyński. Znamy się bardzo długo. To są więzi towarzysko-koleżeńskie. Po turniejach trzeba odreagować, zrobić grilla czy wyjść gdzieś na miasto na pizzę. Wtedy spotykamy się w większym gronie, ale przeważnie stałą ekipą. Ci, co dochodzą, rzadko kiedy się integrują. Tylko bracia Fabisiakowie dołączyli do nas rodzinie.

Wiadomo, w tygodniu też są telefony: „Co u ciebie słychać? Czy będziesz, jeżeli nie, to co się dzieje, czy ci pomóc?”. Jesteśmy paczką, która trzyma się razem. Jak się pokłócimy, to zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał towarzystwo pogodzić.

Ja na przykład jestem bardzo impulsywnym człowiekiem. Objężdżam kolegów w czasie meczu. Zazwyczaj brata. Często mają o to pretensje, bo się drę niemiłosiernie, ale nie biegam wzdłuż linii i nie dyryguję.

Wyznaję w życiu zasadę, że lepiej mądrze stać niż głupio biegać. Stoję i krzyczę. ■

# Błękitna armia Hallera





Nie mogło być inaczej – było zgodnie z historią. Generał Józef Haller, komendant Legionów, z plakatu obserwował zmagania swoich wojsk na lesznówolskich polach.

To już po raz trzeci Stanisław Kiljańczyk w pełnym słońcu ciepłej jesieni zorganizował wyjątkowy piknik. Tym razem uczestnicy upamiętnili rocznicę Cudu nad Wisłą, 100-lecie utworzenia błękitnej armii Hallera i jeden z epizodów Powstania Warszawskiego.

– Decyzję o przygotowaniu inscenizacji podjąłem spontanicznie na wieść o tym, że zbezczeszczono pomnik Jana III Sobieskiego, znajdujący się na wzgórzu Kahlenberg w Wiedniu – mówił Stanisław Kiljańczyk, miłośnik i propagator historii.

Ci, którzy uczestniczyli w imprezie rok temu, wiedzieli, czego można się mniej więcej spodziewać.

Były huk wystrzałów, ogień palonych chat, zbrojne potyczki wojsk polskich i sowieckich, szarże konne, krzyki cywilów i kurz nad polem bitwy.

A kiedy z pola podnosili się ostatni ranni żołnierze, widzowie podziwiali popisy konne jeźdźców z 22. Pułku Ułanów Szwadronu Ziemi Kozienickiej im. mjr. Jerzego Sas Jaworskiego, pokazy musztry i występy orkiestry OSP Nadarzyn pod kierunkiem Mirosława Chilmanowicza.

Obozowiska rozbite przez żołnierzy przyciągały ciekawskich, którzy chcieli z bliska poznać tajniki wojskowego sprzętu. Na czarno-białym,



pamiętkowym zdjęciu przybitym na starym wozie, wciąż grała ta sama orkiestra, która żegnała Stanisława Kiljańczyka, kiedy 34 lata temu w dwusetną rocznicę odsieczy wiedeńskiej wyruszał bryczką do Wiednia.

Na wojnie jak to na wojnie, żeby mieć siły, trzeba jeść. A nic tak nie smakuje jak grochówka i żurek wydawane za darmo z wojskowej kuchni. Byli więc najedzeni goście i zadowoleny gospodarz. ■



# Grzybowa uczta

Podobno takich grzybów, jakie były w tym roku w lesznowlaskich lasach, dawno nie widziano. Ciepłe noce i deszczowe dni sprawiły, że posypały się prawdziwki, kanie, podgrzybki, koźlaki i wszystkie inne jadalne i niejadalne grzyby. Przy drogach wjazdowych do lasów pełno było przyjezdnych samochodów, a grzybiarze z pełnymi koszykami mijali się w poszukiwaniu swojego szczęścia. Dziś sezon grzybowy powoli chyli się ku końcowi, ale zapach suszonych prawdziwków roznosi się w niejednym domu, a słoiki marynowanych podgrzybków wypełniają domowe spiżarnie.



## GRZANKI ZE SMAŻONYMI PRAWDZIWKAMI

Grzyby są doskonałym dodatkiem do potraw. Wielu z nas zna smak wołowiny duszonej z grzybami, jajecznicę z kurkami, wigilijnej grzybowej zupy, czy pysznej smażonej kani. Dziś dorzucamy garść kolejnych przepisów, bo grzyby mają wiele odston.

### SKŁADNIKI

8-10 śliwek, 250 g liści szpinaku, garść rukoli, kilka świeżych prawdziwków (mogą też być podgrzybki lub inne twarde grzyby), świeża bagietka, garść rukoli, ząbek czosnku, oliwa, sól, pieprz

Bagietkę pokrój na kromki, opiek na grillu lub patelni. Grzyby umyj. Pokrój w talarki i wrzuć na rozgrzaną patelnię skropioną oliwą. Opiecz przez chwilę z obu stron. W czasie pieczenia dorzuć na patelnię ząbek czosnku. Na każdej grzance ułóż po kilka listków rukoli. Przełóż usmażone grzyby. Posól i popieprz do smaku.



## TARTA Z GRZYBAMI NA KRUCHYM CIEŚCIE

### SKŁADNIKI

Dziś propozycja dla wszystkich zapracowanych – 1 opakowane gotowego ciasta na tartę.  
**Farsz:** 40 dag grzybów: mogą to być prawdziwki, twarde podgrzybki albo kurki, masło, 2 cebule, 100 ml śmietany (najlepiej kwaśnej), 2 żółtka i jedno całe jajko, łyżka posiekanego szczypiorku, łyżka posiekanej pietruszki, sól, pieprz

Umyte i osuszone grzyby pokrój w paseczki i podduś na maśle (5-7 minut). Kiedy woda wyparuje, dodaj pokrojoną w kostkę cebulę i wszystko lekko podsmaż. Odstaw do wystygnięcia.  
W miseczce wymieszaj 2 żółtka, całe jajko, śmietanę, szczypiorek i pietruszkę. Dopraw do smaku solą i pieprzem. Ciasto rozłóż w formie na tartę. Na wierzch przełóż grzyby i oblej wszystko masą jajeczno-śmietanową. Wstaw do piekarnika nagrzanego do 180 stopni i piecz 30 minut.



## GRZYBOWE PASZTECIKI W CIEŚCIE FRANCUSKIM

### SKŁADNIKI

1 opakowanie ciasta francuskiego, grzyby (im więcej pasztecików, tym więcej grzybów), 2 cebule, 2 ząbki czosnku, masło, olej, 1/2 szklanki bułki tartej, 3 jajka, lubczyk, sól, pieprz

Grzyby oplucz i pokrój w cienkie paseczki. Cebulę i czosnek w kostkę. Na patelni rozpuść niewielką ilość oliwy i masła. Wrzuć cebulę i czosnek. Lekko podsmaż i przełóż do miseczki. Na patelnię wrzuć grzyby. Dopraw do smaku lubczykiem, solą i pieprzem. Pod koniec smażenia dorzuć cebulę z czosnkiem. Weź kolejną miskę. Wbij do niej jajka i dosyp bułkę tartą. Dorzuć grzybowy farsz. Wymieszaj. Jeśli trzeba, dopraw do smaku. Ciasto pokrój w niewielkie kwadraty. Na środek każdego przełóż farsz. Krawędzie posmaruj rozmąconym jajkiem i złoż tak, aby powstały trójkąty. Przełóż na wyłożoną pergaminem blachę. Piecz przez 30 minut w piekarniku rozgrzanym do 180 stopni.



## KRÓLIK Z GRZYBAMI

### SKŁADNIKI

1 królik, 2 garści suszonych grzybów, 3 łyżki masła, 10 ml śmietany 18%, 2 cebule, 2 gałązki świeżego rozmarynu (lub łyżeczka suszonego), 2 liście laurowe, sól, pieprz, pieprz cayenne, 3 ziarenka ziela angielskiego, woda lub bulion warzywny

Grzyby zalej gorącą wodą i namocz. Królika umyj i pokrój w kawałki. W rondlu roztop masło, przełóż kawałki królika i obsmaż, aż będzie rumiany. Dodaj pokrojoną w kostkę cebulę i podsmaż. Podlej gorącą wodą i bulionem. Duś prawie do miękkości. Dodaj odsączone grzyby, przyprawy i duś dalej aż wszystko będzie już naprawdę miękkie. Do śmietanki dodaj kilka łyżek sosu z duszonego królika, zahartuj i wlej do rondla. Pogotuj jeszcze przez chwilę i gotowe.

### SKŁADNIKI

6 filetów śledziowych (matiasów), 6 kapeluszy suszonych prawdziwków lub podgrzybków, duża cebula, 2 łyżki oliwy  
**Zalewa:** 2 łyżki octu, 2 łyżki oliwy, listek laurowy, 2 goździki, 2 ziarenka ziela angielskiego, sól, cukier, szczypta cynamonu

## ŚLEDZIE Z SUSZONYMI GRZYBAMI

Grzyby przełóż do miseczki, zalej wrzątkiem i zostaw na noc. Zrób zalewę. Wymieszaj ocet, 6 łyżek wody i oliwę. Dodaj przyprawy. Posól i posłodź do smaku. Śledzie umyj, namocz, następnie pokrój w dzwonka, przełóż do miski, zalej zalewą, odstaw na 24 godziny. Namoczone grzyby ugotuj do miękkości w tej samej wodzie, w której się moczyły. Odsącz i pokrój w paseczki. Cebulę obierz, pokrój w piórka, dodaj pokrojone grzyby i oliwę. Wymieszaj i odstaw na dwie godziny. Śledzie wyjmij z zalewy i ułóż na półmisku. Na wierzch połóż grzyby i cebulę. Odstaw na trzy godziny, żeby wszystkie smaki się przegryzły. Gotowe.



## *Dąb i dynia*

*„Kiedy czas przyzwoity do dojżenia nastął,*

*Pytała dynia dęba, jak też długo wzrastał?*

*„Sto lat”. „Jam w sto dni zeszła taką, jak mnie widzisz” —*

*Rzekła dynia. Dąb na to: „Próżno ze mnie szydzisz;*

*Pięknaś, prawda, na pozór, na pozór też słyniesz:*

*Jakeś prędko urosła, tak też prędko zginiesz”.*

*Ignacy Krasicki*